

KAMENIA

LUBLIN 26 I 1975 Nr 2 (566)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

Nagrodę Plastyczną Lubelszczyzny 1974, przyznawaną za najbardziej wartościową ekspozycję indywidualną roku, otrzymał JAN ZIEMSKI, autor wystawy w „Galerii 72” w Chełmie Lub. Artysta, działający niegdyś w grupie „Zamek”, należy do najwybitniejszych w Polsce przedstawicieli nurtu wizualnego, demonstrując przy tym wyjątkową aktywność twórczą.

Nagrodzony zestaw prac miał charakter retrospektywny obejmował dzieła wczesne, z połowy lat pięćdziesiątych, zbliżone do surrealizmu, następnie kompozycje strukturalistyczne oraz przestrzenne układy — źródła interesujących efektów wizualnych, określające aktualną problematykę twórczości J. Ziemskiego. Dzieła artysty znajdują się w czołowych muzeach krajowych a także za granicą, m. in. w Solomon R. Guggenheim Museum w Nowym Jorku.



Serdecznie gratulujemy artyście, czyniąc to z tym większą satysfakcją, że nagrodzie ufundowanej przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, patronuje redakcja „Kamień”.

Dalszej pomyślnej działalności życzymy przy okazji Muzeum w Chełmie Lubelskim, przy którym istnieje „Galeria 72”, prezentująca najwybitniejsze postacie polskiej sztuki współczesnej. Oby tak dalej!

(k)

121 rekordów Polski lubelskich pływaków

Jerzy Dostatni

POLSKA szkoła boks, polska szkoła lekkoatletyki, polska szkoła siatkówki... Te pojęcia obiegają lub obiegają świat, są synonimem najwyższych osiągnięć w danej dziedzinie sportu. Ale nikt jeszcze nigdy nie mówił i nie pisał o polskiej szkole pływania. Było kilka nazwisk, jak np. Petruszewicz czy Kłopotowski, które pojawiały się na listach europejskich, ale na krótko: pojedyncze fajerwerki, o których pamiętają tylko najstarsi kibice. Dzisiaj pływacy polscy w skali europejskiej, nie mówiąc o międzynarodowej, po prostu nie liczą się.

Na tle szarej przeciętności naszych pływaków i pływaczek coraz większą sensacją i dla znawców i dla zwykłych kibiców staje się prawdziwy grad rekordów, ustanawianych przez młodzież polskich pływaków lubelskich. Oto w latach 1972—1974 sześćcioro z nich ustanowiło razem 121 rekordów Polski w różnych stylach i na różnych dystansach. Tak, to nie omyłka — sto dwadzieścia jeden rekordów Polski! A ponieważ ponad 30 razy sami poprawiali własne rekordy, w kilku wypadkach zaś zostali zdystansowani przez innych — wszystko

Dokończenie na str. 4—5

Julita Gębikówna i inni...

PODCZAS balu sylwestrowego „Pegaza” (bardziej najlepsza pozycja rozrywkowa tego Sylwestra w TV!) krzyżowały się w wirze walca życzenia na rok 1975 r. Coraz wymyślniejsze, subtelniejsze, wytworniejsze, wykwiłtniejsze, całkiem ekskluzywnie. Ktoś powiedział, rozmarzony:

— Postać przed Moną Lisą, ach...

— Hm, mruknęłam do telewizora — postać — postalam. W listopadzie.

Święta prawda: ja stałam, obok na krzeselku siedział flic alias policjant. Zadomowiony, bez peleryny.

Sznur gruby, prymitywny, na szpetnych podpórkach, zataczał półkole przed *Giocondą*, oddzielając *cinquecento* od epoki atomowej. Mona Lisa uśmiechała się do mnie z bezpiecznej odległości.

No i co? No i nic. Absolutna gombrowiczowska niemożność egzaltowanego podziwu.

Nie tak to illo tempore bywało, kiedy porzucając na godzinę pracę nad procesem Ludwika XVI, pędzilo się z Bibliotheque Nationale do

W PARYŻU BEZ MISJI

Maria Bechezyc-Rudnicka

Luwru, do Salon carré by skupić się nabożnie w klimacie Leonarda, Giorgiona, Correggia... A prawie codziennie, bo bezpłatnie. Tym razem jednak obniżało temperaturę uczuć może i tymczasowe ulokowanie *Mony Lisy* w ponurej, długiej sali, przeladowanej wielkimi płótnami, też wyrwanymi z ich właściwej ambienty. Ech, te remonty, to z ich powodu nie udało mi się odświeżyć w pamięci ani pasa cnoty, ani narzędzi tortur (średnio-wiecznych) w Muzeum Cluny: całe trzecie piętro było zamknięte.

Ale dajmy pokój zbyt cofniętym w głąb retrospekcjom. Przyznam się, że gdy jechałam do Paryża jesienią r. 1973, napędzała mi strachu myśl o nieuchronności sentymentalnych zestawień z idyllą sprzed przeszło pół wieku. Jakoś przecie uchroniłam się wówczas od niepożądanych wspominków i oto mam teraz bardziej rzeczowy punkt odniesienia na dystansie przerwy rocznej. Tedy jedyną

Dokończenie na str. 8—9

LUBELSKIE Zagłębie Węglowe po kilku latach poszukiwań geologicznych, po różnych dyskusjach i przymiarkach, staje się rzeczywistością. 9 stycznia br. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło decyzję o budowie pierwszej, tzw. pilotującej kopalni. Oznacza to, że w roku 1980 lub 1981 — zależy to od postępu robót, a więc od wykonawców i warunków, jakie oni we wnętrzu ziemi napotkają — wyjadą na powierzchnię ziemi pierwsze tony naszego węgla.

Ta sama decyzja Biura Politycznego określa, że perspektywicznie Lubelskie Zagłębie Węglowe będzie dostarczało 25 milionów ton węgla. Znaczący to, że w tym czasie czynne będą trzy lub cztery duże kopalnie.

25 milionów ton rocznie to dużo i mało. Dużo jeżeli chodzi o teren zupełnie nowy, gdzie wszystko trzeba budować od początku, gdzie dotychczas nie było żadnej górniczej tradycji. Mało — jeżeli spoj-

rzeć na całkowite w chwili obecnej wydobyte krajowo, bo oznaczać to będzie tylko około 13—15 procent tego wydobycia. Ale przecież Polska jest potentatem węglowym — szóstym na świecie wydobywcą, a

weneji i społecznej. A więc drogi i koleje, mieszkania i szkoły, sieć energetyczna i teletechniczna, specjalizacje w szkołach średnich i wyższych łącznie z ich rozbudową, rejonowy wypoczynku i rekreacji itd.

WĘGIEL

drugim eksporterem. I to, co można było określić jako mało, czy stosunkowo mało, dla olbrzymiej większości państw na świecie stanowiłoby bardzo dużo, a przynajmniej dla połowy zaspokojenie wszystkich potrzeb energetycznych.

Naturalną jest rzeczą, że wraz z budową pierwszej kopalni będzie następowała budowa całej infrastruktury gospodarczej, a w konsekw-

Zmieni się struktura zatrudnienia, przybierze na sile proces urbanizacji, nabiorą nowej wartości walory urbanistyczne i architektoniczne, szczególnie ważna stanie się ochrona środowiska naturalnego.

To wszystko razem stanowić będzie chyba największy z dotychczasowych skoków w stałym rozwoju naszego województwa. Dla nas co najmniej równy temu, jakiego do-

konaliśmy w czasie realizacji planu sześciolletniego, gdy zbudowaliśmy m. in. cztery największe dotychczas zakłady przemysłu maszynowego. W perspektywie stanie się to zapewne osiągnięciem znaczącym zarówno dla całej gospodarki narodowej, jak szczególnie dla naszej, wojewódzkiej.

Ale ani uchwała, ani idące za nią miliardy same nie stworzą Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Potrzebna będzie bardzo wytężona praca nas wszystkich, nie tylko tych, którzy będą bezpośrednio związani z węglem. Nowa perspektywa bowiem nie oznacza, że jakkolwiek fragment naszych dotychczasowych planów ulega przekształceniu lub zmniejszeniu. Nowe zadania będziemy musieli — bo tak przecież wszyscy chcemy — wykonać obok inwestycji znajdujących się w normalnym planie. To wymaga ujawnienia nowych rezerw i możliwości, tkwiących w nas samych. (dost.)

ŚWIAT KAPITALISTYCZNY ROKU 1975

Podpalili śpiącego włóczęgę...

NIE wygrywamy bitwy przeciwko przestępczości, ale raczej ponosimy porażki... — w tak pesymistyczny sposób ocenił amerykański minister sprawiedliwości, William Saxbe, obecną sytuację w Stanach Zjednoczonych.

Problem był zawsze poważny, ale w ostatnich latach wysunął się na czoło wewnętrznych zagadnień USA. Według oficjalnych danych FBI w okresie od 1960 do 1973 roku liczba zgłoszonych przestępstw wzrosła o 158 proc. i osiągnęła roczną wysokość 8,6 milionów! Najbardziej wzrosła liczba rabunków (o 256 proc.), gwałtów (o 199 proc.), kradzieży samochodów (o 183 proc.). Niektórzy pocieszają się, że liczba morderstw wzrosła „zaledwie” o... 116 proc. Liczby te, oczywiście, są niepełne: większość przestępstw nie jest w ogóle rejestrowana, gdyż ofiary uważają, że i tak nie przyniesie to żadnych rezultatów.

Prezydent Ford oświadczył niedawno: *Przestępczość przybrała stanowczo zbyt duże rozmiary. Nadszedł czas działania. Problem sporny polega jednak na tym: w jaki sposób mamy zmniejszyć liczbę przestępstw?*

Wzrastają przestępstwa i wzrastają strach. Coraz więcej pieniędzy wydaje się na środki samoobrony. Miliony dolarów przeznaczają mieszkańcy USA na broń, systemy alarmowe, zamki zabezpieczające. Coraz więcej prywatnych strażników znajduje zatrudnienie w poszczególnych przedsiębiorstwach.

Mówiło się niegdyś, że dom każdego człowieka jest jego zamkiem, dziś mówi się, że jest... fortecą — stwierdza amerykański tygodnik „U. S. News and World Report”. W niemal każdym wielkim mieście istnieją dzielnice, do których niezamieszkał tam ludzie boją się wejść i w których mieszkańcy nie odważają się wychodzić nocą z domów. Wiele sklepów przenosi się z miast do osiedli podmiejskich, ale te osiedla też już nie są bezpieczne.

Trzej matematycy z Instytutu Technologii w Massachusetts przeprowadzili niedawno szczegółowe badania. Wykazały one, że liczba zabójstw w miastach amerykańskich wzrasta w tak szybkim tempie, że urodzony w 1974 roku chłopiec w mieście amerykańskim ma większe „szanse” na to, że padnie ofiarą morderstwa, aniżeli amerykański żołnierz w czasie II wojny światowej, że zginie na polu bitwy!

Dlaczego tak się dzieje? Zdaniem niektórych przedstawicieli władz śledczych zbrodnia dla zbyt wielu przestępców po prostu popłaca. Ryzyko jest zbyt małe w stosunku do potencjalnych zysków, by mogło skutecznie odstraszać. Duży procent zbrodniarzy nie tylko unika karzącej ręki sprawiedliwości, ale i przez dłu-

gie lata może czerpać zyski ze swych przestępstw.

Aresztuje się zaledwie 21 proc. sprawców poważnych przestępstw, a 5 proc. spośród nich otrzymuje wyroki skazujące. Profesor prawa karnego uniwersytetu Northwestern, Fred Inbau, sygnalizuje, iż mimo stale rosnących przestępstw w więzieniach amerykańskich jest obecnie mniej więźniów aniżeli w 1960 roku. Były prezes Stowarzyszenia Prawników Amerykańskich, Chesterfield Smith, doszukuje się przyczyn tej anormalnej sytuacji w przemyśle sędziów. Inny jest pogląd dyrektora Stowarzyszenia na Rzecz Skutecznego Wymiaru Sprawiedliwości, Franka Carringtona. Powiada on: *Nasz system karny całkowicie ignoruje ofiary przestępstw. Mamy mnóstwo przepisów i decyzji sądowych, koncentrujących się całkowicie na ochronie praw osób podejrzanych o przestępstwo i skazanych. Nie twierdzę, że troska o te prawa jest niesłuszną. Sądzą jednak, że powinna istnieć jakaś równowaga.*

W Kongresie przedstawiono projekt ustawy, która nakłada na władze wymóg, by postawienie w stan oskarżenia zajmowało nie więcej niż 30 dni, zaś proces odbył się w terminie nie dłuższym niż 60 dni od tego orzeczenia.

Panuje powszechna opinia, że zbyt mało wie się o samych źródłach narodzin przestępczości. Zwraca się uwagę na takie czynniki, jak: osłabienie więzi rodzinnej, zbyt duża tolerancja w stosunku do młodzieży, wpływ aktów gwałtów, ukazywanych w telewizji oraz istnienie ubóstwa w na ogół zamożnym społeczeństwie. Nieco mniej mówi się o zasadniczych przyczynach wzrostu przestępczości: recesji gospodarczej, pociągającej za sobą wzrost liczby bezrobotnych i inflacji.

W nagłówkach prasowych dominują przestępstwa gwałtowne: morderstwo, gwałt, rabunek, napad. Jeśli jednak obliczy się skutki gospodarcze, to najwięcej kosztów w skali ogólnokrajowej powoduje działalność zorganizowanych gangów oraz sprawców tzw. „przestępstw urzędniczych”. W 1973 r. łączne koszty przestępczości wyniosły w USA blisko 90 (słownie: dziewięćdziesiąt!) miliardów dolarów, podczas gdy w roku 1970 — 51 miliardów. Wzrost o 73,4 proc. w przeciągu trzech lat — nawet jeśli się uwzględni inflację — jest zaskakujący.

Zorganizowane gangi przestępców wyciągają obecnie z kieszeni Amerykanów przeszło 37 miliardów dolarów rocznie, podczas gdy przed czterema laty niecałe 20 miliardów. Większość tych zysków płynie z nielegalnego hazardu, a spora część z handlu narkotykami.

21,3 mld dolarów to suma strat powodowanych przez „przestępstwa urzędnicze” — defraudacje, oszustwa, fałszerstwa i kradzieże, a także różnego rodzaju akty wandalizmu lub

podkładania ognia. To ostatnie ma niejednokrotnie na celu zatuszowanie „przestępstwa urzędniczego”.

Zabójstwa i napady — chociaż pociągają za sobą niewymierną cenę w życiu ludzkim i cierpieniach — kosztują „jedynie” 3 miliardy dolarów. A 6,5 miliarda dolarów to straty spowodowane przez pijanych kierowców (liczenie ofiar, koszty utraconych zarobków, szkody materialne).

Najbardziej niepokoi Amerykanów gwałtowny wzrost przestępstw wśród nieletnich. Niemal połowa wszystkich poważniejszych przestępstw jest właśnie ich dziełem. I co charakterystyczne i szczególnie wstrząsające: w ubiegłym roku aresztowano i oskarżono o popełnienie przestępstw przeszło 30 tysięcy dzieci w wieku lat dziesięciu, lub jeszcze młodszych.

Dane statystyczne alarmują, ale alarmują również okoliczności niektórych przestępstw, popełnianych przez młodocianych.

Oto w Peterson (stan Nowy Jork) czterech 19-letnich młodzieńców zastrzeliło 71-letniego sędziego w trakcie rozprawy. W Miami (stan Floryda) oskarżono o morderstwo dwóch chłopców w wieku 12 i 13 lat: oblał oni benzyną i podpalili śpiącego włóczęgę. 14-letni chłopiec w Chicago wydalony ze szkoły i umieszczony w zakładzie poprawczym, wrócił do swej dawnej szkoły, by zastrzelić dyrektora i zranić (morderstwo, na szczęście, się nie powiodło) dwóch nauczycieli. W nowojorskiej dzielnicy Bronx co najmniej cztery starsze osoby zmarły ubiegłorocznej jesieni na skutek ran zadanych im przez grupki dzieci lub grupki nastolatków. W szkołach średnich Los Angeles działa gang młodzieżowy zwany się „kalekami”: postawił on sobie za cel powodowanie u swych ofiar trwałego kalectwa... Ma on swą „filię” wśród dziewcząt, a także wśród uczniów szkół podstawowych!!!

Kolejny problem: przestępczość w dzielnicach podmiejskich i w miasteczkach. Wielu ludzi, którzy uciekli z miast w obawie przed przestępczością przekonuje się, że postępuje ona w ślad za nimi do dzielnic podmiejskich lub małych miast. Co dziwniejsze: w małych miastach notuje się procentowo większy wzrost przestępstw niż w dużych miastach. Dlaczego? Autostrady, drogi szybkiego ruchu sprawiają, że w dzielnicach podmiejskich czy w małych miastach panuje większa mobilność. Jest to zjawisko pozytywne dla sprawców rabunków i włamań. Przybiegają oni do akcji i natychmiast ulatniają się. W pewnym rejonie podmiejskim koło Atlanty w stanie Georgia stwierdzono w ciągu roku cztery wypadki morderstw: za każdym razem ofiary były porucane przy autostradach. Zarówno ofiary jak i sprawcy pochodzili z innych okolic.

Najpowszechniejszymi spośród wszystkich przestępstw są kradzieże. Ich sprawców najtrudniej schwytać. W ub. r. odnotowano blisko 7 milionów

kradzieży, ale uważa się, że stanowiły one drobną część kradzieży, które się faktycznie zdarzyły. W stanie Iowa co piąty farmer został w ciągu ostatnich trzech lat okradziony. Szczególnie rośnie liczba kradzieży w sklepach samoobsługowych i w coraz większym stopniu obejmują one artykuły żywnościowe.

Statystyki ujawniają, że dwie trzecie wszystkich przestępstw popełniają recydywiści. Pewien mężczyzna w Waszyngtonie był w ciągu pięciu lat aresztowany 57 razy zanim ostatecznie został skazany. A ok. 35 proc. przestępców ma szansę na to, że w czasie, gdy znajdują się na wolności dzięki kaucji, zostaną aresztowani za dokonanie kolejnego „wypadku”.

Osobną kartą jest terroryzm, który ostatnio też się nasilił. Wśród niedawnych obiektów zamachów bombowych były m. in.: gmach Kongresu, lotnisko w Los Angeles oraz szereg banków w Nowym Jorku. W 1974 r. porwano — głównie celem wymuszenia okupu — ponad 3,5 tysiąca osób. Przeszło 95 proc. porwaczy — tu akcja policji bywa najskuteczniejsza — wpada w ręce władz.

Najbogatsze przedsiębiorstwa przestępcze stanowią organizacje gangsterskie. Władze twierdzą, że w ciągu ostatnich czterech lat skazano na więzienie ok. 10 proc. znanych przywódców świata podziemnego. 90 proc. jest jednak nadal na wolności... Tym, co odróżnia działalność gangów od innych form przestępczości, są ściśle formy organizacji, odrębne „rodziny”, powiązane ze sobą w skomplikowaną sieć. Bliska współpraca wielokrotnie ich potęgę, daje im kontrolę nad znaczną liczbą wielkich, nielegalnych przedsiębiorstw. Władze federalne oceniają, że spośród 40 mln dolarów wydawanych rocznie na nielegalne gry hazardowe około 75 proc. przechodzi przez ręce zorganizowanych gangów. Drugim największym źródłem dochodów są dla zorganizowanych gangów narkotyki. A następnymi: lichwa i oszukiwanie bankructwa. Gang zakłada np. firmę, na której czele stawia przedsiębiorcę, pozornie uczciwego. Firma zamawia duże ilości towarów, które sprzedaje za bezcen, lub ukrywa, a następnie wycofuje gotówkę, dyrektorzy po prostu znikają. Charakterystyczne, że gangi swoje ogromne bogactwo coraz chętniej inwestują w legalnych przedsiębiorstwach!

Ostatnio w Stanach Zjednoczonych nasiliła się walka mająca na celu ograniczenie przestępczości urzędniczej. Minister sprawiedliwości USA, Saxbe, powiedział: *Istnieje różnica między przestępcą urzędniczym, a pospolitym. Ten drugi może obrabować swą ofiarę ze 100 dolarów, natomiast pierwszy jest w stanie uruchomić spisek zdolny do obrabowania tysięcy obywateli z setek milionów dolarów.*

Jakie rezultaty przyniesie ta walka — pokaże przyszłość. Jak na razie — sytuacja nie jest wesoła.

WIEŻA na zamku w Lublinie nie doczekała się do tej pory szerszego gruntownego opracowania naukowego. W roku 1956 Pracownia Dokumentacji Naukowo-Historycznej warszawskiego Oddziału PKZ sporządziła Studium Historyczno-Architektoniczne. Wstępne. Po zbieciu tynków podczas prac budowlano-konserwatorskich w latach 1958 oraz 1962—1968 ukazały się wzmianki na tle ogólnych opracowań architektury Lublina, czy też zamku, traktujące nowo ujawniony detal architektoniczny jako gotycki, z określeniem czasu powstania tejże nadbudowy na czasy Kazimierza Wielkiego.

Od lipca 1974 roku zajmuje się opisem i kompleksową interpretacją stylowego charakteru wieży oraz ustaleniem inspiracji i genezy dla tego typu budowli. Wstępnie naświetliłem problem określenia stylowego charakteru wieży na zamku lubelskim w publikacji pt. „Wieża gotycka czy romańska” w „Kurierze Lubelskim” z dnia 1—3 listopada 1974 r. nr 254.

Wieża trójkondygnacyjowa (nie licząc najniższej obecnie piwnicznej) mieści we wnętrzu sklepioną spiralną klatkę schodową biegnącą od najniższej kondygnacji piwnicznej aż na dzisiejszy strych. Wszystkie kondygnacje posiadają sklepienia kopułaste (ostatnio w dużym stopniu przemurowane). Zwracają uwagę trzy typy okien: wąskie prostokątne z gładką do wewnątrz typu strzelnicowego, prostokątne półcyrkłowe z przewężeniem w środku grubości muru oraz, na najwyższej kondygnacji, otwory, z których jeden zachował pierwotne opracowanie w postaci przezrocza biforyjnego.

W pierwszym etapie zainteresowań problematyką wieży oparłem się wyłącznie na architekturze i ona właśnie była inspiracją do określenia charakteru stylowego budowli. Kiedy przekonałem się o jej późnoromańskim rodowodzie (mowa o architekturze ceglanej), sięgnąłem do aktualnych badań historycznych szukając tam przesłanek polityczno-strategicznych i ekonomicznych, związanych z ówczesną dzielnicą krakowsko-sandomierską, warunkujących lokalizację w Lublinie tej monumentalnej budowli. Analiza tego materiału przeszła oczekiwania. I. Brycy stwierdzili, że w tym okresie (na który wstępnie można byłoby datować ceglana architekturę wieży na tym terenie) formowała się strategiczna dążność Polski do umocnienia swych rubieży z chwilą utracenia przygranicznych umocnień. Architektura wieży, pozostałości wałów drewniano-ziemnych wskazują na związek tych elementów z politycznym faktem ustanowienia w Lublinie osobnej kasztelanii.

W wielu źródłach na ten temat można się spotkać z twierdzeniem, że wieżę w Lublinie zbudował książę halicko-wołyński Daniel Romanowicz ok. 1240 r., po rzekomym zdobyciu Lublina. Jako argumenty służą tutaj: analizy starych kronik, przypisywanie budowy wieży w rejonie Chelma właśnie jemu oraz... brak wiary w możliwości twórcze władz miejscowych — czy to w zakresie budowy, czy też sprawowania mecenatu nad jej budową.

Przeciwko dotychczasowemu przypisywaniu wieży lubelskiej Danielowi świadczy zestawione niżej wnioski. K. Myśliński analizując treść kroniki ruskiej traktującej o tym przedziale czasu, w którym Daniel miał zdobyć Lublin, doszedł do wniosku, że grodu on wtedy nie opanował, a tym samym nie mógł zbudować tej monumentalnej budowli. Według współczesnej kroniki ruskiej — stwierdza K. Myśliński — w toku nawiązanych rokowań mieszkańcy musieli się zobowiązać, że nie będą pomagać swemu dotychczasowemu zwierzchnikowi, księciu Bolesławowi Wstydliwemu. Z tego wynika, że Danielowi nie udało się zająć Lublina. Nie wydaje się więc słuszny pogląd, jakoby Lublin został wtedy zdobyty i przez kilka lat pozostawał pod ruskimi rządami, czego pozostałością miała być zbudowana jakoby przez Daniela baszta... Można by tu dodać, że księciu halickiemu udało się wtedy być może zdobyć okoliczne osady służebne i podgrodzie, co mogło być odnotowane przez kronikarzy jako zdobycie Lublina, bo one przecież również stały o Lublinie. Przy analizie treści tej kroniki nasuwa się wniosek, że Daniel musiał po długotrwałym, wyczerpującym obie strony oblężeniu, po wspomnianych pertraktacjach, odstąpić od broniącego się grodu. W tej sytuacji wypadłoby bardzo dodatnio ocenić ówczesne ufortyfikowanie Lublina już około 1240 roku.

Problematyka grodu i próba wiązania budowy wieży w Lublinie z osobą Daniela zmuszają do przesunięcia zainteresowania również w kierunku Chelma, który od 1235 roku stał się nową, po Haliczu, stolicą księstwa wołyńsko-halickiego.

Badania archeologiczne (jak pisze Bolesław Zimmer w swej pracy pt. „Miasto Chelm”, PWN, Warszawa 1974) na Wysokiej Górze w Chelmie, przeprowadzone przez rosyjskich uczonych pod kierunkiem Pokryszkina w latach 1910 — 1912, wykazały istnienie tam grodu sprzed czasów Daniela.

Badania archeologiczne na tym terenie przeprowadzone w lecie 1966 roku pod kierunkiem Aleksandra Gardawskiego i Jana Gurby z UMCS przy współpracy Wiktora Zina i W. Grabkiego, wykazały, że początki Chelma sięgają daleko poza czasy Daniela. W świetle tych badań Chelm był jednym z grodów między Bugiem a Wieprzem, który uległ zniszczeniu. Na jego gruzach zbudował Daniel nowy gród chelmski.

B. Zimmer pisze: Gród chelmski, jak się często sądzi, miał oparcie w wieżach, które się wznosiły w pobliżu miasta. Najczęściej budowę tych wież przypisuje się Danielowi, co jednak nie ma uzasadnienia...

Badania Pokryszkina na Wysokiej Górze stwierdziły relikty muru obronnego, który był zbudowany

w podobny sposób jak wieże pod Chelmem: w Stolpiu i Bielawinie. Rappoport sądzi, że mur ten pochodzi z czasów późniejszych, a nawet z XV wieku. „Dlatego też jest zdania, że wieże pod Chelmem mogły powstać po śmierci Daniela pod koniec XIII wieku, lub też w pierwszej połowie XIV wieku...” I jak pisze dalej B. Zimmer: Najnowsze badania wieży bielawskiej w 1965 roku oraz badania na górze chelmskiej w 1966 roku potwierdziły tezę Rappoport. Archeologowie wskazują, iż wieża ta powstała w czasach Kazimierza Wielkiego. Wieże zbudowano na wzór zachodnio-europejski jako siedziby obronne drobnych feudałów, którzy przechowywali w nich broń i zapasy żywności. Wieża w Stolpiu, leżąca na szlaku handlowym, mogła spełniać rolę strażnicy i można z niej było kontrolować przejeżdżających kupców... Budowle te są świadectwem wpływów zachodnich na Rusi Chelmskiej...

Analizując treść monumentalnej pracy „Wsklepszczaja Istorija Architektury” tom 3 w rozdziale „Architektura Jugozapadnych Oblastiej Driewniej Rusi w XII — XIII vv” czytamy: W połowie XII wieku Wołyn odgrywa ważną rolę w historycznym i politycznym życiu dawnej Rusi, stając się samodzielnym księstwem. W tym okresie następuje znaczne ożywienie dróg handlowych, idą i architektoniczne wpływy na dawne ziemie ruskie z kra-

zapóźniona, lecz porównywalna do pokrewnych form stylowych w kraju, a być może nawet, przez wczesne użycie cegły, wśród nich przodująca.

W zeszycie 3 tom V z roku 1960 „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki” jest referat Hansa Jonchima Mruseka „Wyniki badań nad grodam i rejonie środkowej Laby”, gdzie przedstawione wyniki badań oraz materiał ikonograficzny sugestywnie wskazują na kierunek dopływu inspiracji dla budowniczego wieży na zamku lubelskim. W wieżach grodów (zamków) w rejonie Magdeburga, Halle, sięgających swymi tradycjami do czasów karolińskich, a nawet wcześniejszych, widać podobny program wynikający z ich funkcji i znaczenia w grodzie. Ostatnie kondygnacje wież mają bardzo często przezroczaowe opracowanie okien w formie biforiów, czy tryfioriów, co świadczy o akcentowaniu ich funkcji rezydencjonalnych na równi z obronnymi, dobitnie ilustruje to wieża lubelskiego grodu.

Na grodzie w Neuenburg koło Freiburg widać na jego rzucie wieżę o planie analogicznym do lubelskiej, z czytelną spiralną klatką schodową. W zamkach takich, jak: Querfurt, Seeburg, Kyffhausen, Wanzleben, Westerburg, wymieniony już Neuenburg, Gaterslaben — wszędzie rdzeniem całego założenia jest owa wieża, jakże jednoznacznie przypominająca lubelską, a różniąca się od innych w swym charakterze wież z rejonu Chelma i piwo-

Kto i kiedy zbudował wieżę na zamku lubelskim?

Wojciech Koziejowski



Fot. J. Spratek

jął Zachodniej Europy... Autorzy dostrzegają wyraźne powiązania handlowe, a tym samym wpływy kulturowe płynące z zachodu Europy.

Na całym terytorium Polski podobne wieże na grodach początkowały późniejsze uformowanie się średniowiecznego zamku. Czym dalej na zachód, budowli takich jest coraz więcej. Inna rzecz, że mimo zewnętrzznego podobieństwa ich szczegół konstrukcyjny i funkcjonalny bywa często dość różny. Wpływało na to wiele czynników, takich jak np.: lokalizacja grodu (zamku), polityczne związki fundatora z innymi prowincjami inspirującymi jego działalność budowlaną oraz etniczne tradycje i przyzwyczajenia budowniczych, sprowadzanych często do realizacji tego typu obiektów. Ci mistrzowie właśnie z uwagi na swe rodzime doświadczenia przy szczególnie oryginalnych budowli mogli być sprowadzani z obszarów bezpośrednio ze sobą nie graniczących.

Wieża lubelska sugerowałaby właśnie taką genezę. Trudno w tej chwili precyzyjnie sformułować jej rodowód, tym bardziej że temat ten wymaga wielu studiów i badań, a zwłaszcza koncentracji w sferze analizy porównawczej w stosunku do budowli na zachodzie. Tutaj rodzi się trudność wynikająca z faktu, że architektura wczesno-średniowieczna, aż do gotyku, nie miała jednej ściśle określonej ojczyzny. Państwa zachodnie formowały istotne cechy swej architektury czerpiąc z tradycji lokalnych, ale i sąsiednich, mając w świadomości mocno zakorzenione wzory antyku. Były też importy i przerzuty wynikające z powiązań religijnych (pielgrzymki), handlowych czy polityczno-strategicznych, a nawet dynastycznych.

W swym traktacie pierwszy włoski teoretyk architektury Alberti stwierdza, że nie podoba mu się krajobraz pozostawiony przez średniowiecze. Pisze, że przed 200 laty panowała jakby jakaś powszechna mania budowania wież, nawet w niewielkich miasteczkach, także zdawało się, że żadnemu ojcu rodziny nie wypadło nie mieć własnej wieży i stąd prawie wszędzie widać było lasy wież.

Można w wieży lubelskiej doszukać się elementów podobnych do elementów architektury z terenu północnych Włoch, czytelnych zwłaszcza w zastosowaniu materiału ceglano-ceglanego, w uformowaniu spiralnej klatki schodowej oraz w zastosowaniu profilowanych cegieł w opracowaniu węgów ostatniej kondygnacji biforiowych wnek od wewnątrz. Wiemy, że mistrzowie lombardzcy znali jeźdźcę Como, zwani maestri comacini, już we wczesnych wiekach średnich wędrując na północ przynosili formy włosko-lombardzkie. Nietrudno wskazać ich dzieła także w Polsce, np. kościół Dominikanów pod wezw. św. Jakuba w Sandomierzu — siedziba, być może, mecenasa lubelskich umocnień kasztelańskiego grodu.

Przeświadczenie o zachodnim charakterze tej formy, zrealizowanej przez sprowadzenie mistrza biegłego w budowie, specyficznej nie tylko dla tego terenu budowli świadczyłoby, iż nie jest to forma

Trudno sformułować w tej chwili pokrewieństwo lubelskiej wieży, ale obecnie dostępny materiał pozwala widzieć związki tej architektury z architekturą zachodniej Europy, która sięgała swymi wpływami aż na Ruś, a którą Polska przejmowała będąc niejako pośrednikiem w jej oddziaływaniu na wschodzie. Polska te formy adaptowała i często na swój sposób przetwarzała — zgodnie ze swymi warunkami lokalnymi, podobnie jak to było z innymi wpływami z zachodu kontynentu.

Rzuty i przekroje wież z rejonu Chelma i Kamieńca Litewskiego, na które się powszechnie powoływano w orzekaniu autorstwa wieży w Lublinie, odbiegają od charakteru lubelskiej budowli. Zwłaszcza imponujące w swym programie spiralne ukształtowanie klatki schodowej w lubelskim obiekcie, organicznie związane z ceglano-późnoromańskim programem budowli (które do tej pory próbowano wiązać z późniejszymi przebudowaniami, bo jakoby wcześniej miała tam być „drewniana” komunikacja), w zasadniczy sposób wyodrębnia ten obiekt. Znajduje on analogie na zachód od siebie, a swój charakter obronno-rezydencjonalny czerpie od dużo wcześniej sformułowanego programu na grodach zachodnio-europejskich, funkcjonujących wtedy, gdy na wschodzie mogły powstawać umocnienia nieporównywalne z racji swego historycznego archaizmu.

Przeświadczenie o imporcie tej formy z zachodu upoważnia do datowania tej budowli według analizy porównawczej, eliminując obawę, iż mamy do czynienia z formą zapóźnioną. Ceglano-biforium z kamienną kolumnką, wewnętrzne opracowanie wnętrza tegoż przezrocza z użyciem profilowanych cegieł i kamiennych archiwolt przechodzących w trójłuki koniczynowe oraz powszechnie występowanie dość regularnego wążku wendyjskiego, upoważniają do określenia czasu powstania tej budowli na około połowy XIII wieku.

Dalsze badania pozwolą, być może, ustalić dokładniej drogę i kierunek importu formy lub koncepcji, które tu się zmaterializowały, najprawdopodobniej z dużym udziałem sił miejscowych. Jedno jest pewne: mamy do czynienia z oryginalnym, unikalnym na tym terenie, wczesnośredniowiecznym pomnikiem sztuki murarskiej, która ukształtowała monumentalny z racji swej skali, program i funkcjonalności obronno-mieszkalny obiekt z około połowy XIII w.

W trakcie pracy nad tą budowlą autor artykułu spotkał się z wieloma przeciwnościami i uwagami utrudniającymi nielato przedzieranie się przez gąszcz tajemnic i niewiedzy otaczających wież. Wydaje się, że obwarowano budowlę i genezę jej powstania zbyt wieloma uparcie powtarzonymi „mitami”. Brak dogłębnej wiedzy w sensie badań archeologicznych i architektonicznych stworzył nieprawdziwą (zdaniem autora), uogólniającą hipotezę o halicko-wołyńskim strategicznym początku zabudowy murewanego grodowego wzgórza w Lublinie.

Historia najnowsza

WALKA O MŁODZIEŻ

Mieczysław Wereski

BURZLIWE życie polityczne pierwszych lat Polski Ludowej wywarło wyraźny wpływ na ruch młodzieżowy.

W działalności każdej z organizacji — powstałego w styczniu 1943 r. Związku Walki Młodych, reaktywowanych: w sierpniu 1944 r. Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej „Wici” i w listopadzie 1944 r. Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, jak i uformowanego w maju 1945 r. Związku Młodzieży Demokratycznej — w postawie aktywności i członków znalazły swoje odbicie wszystkie złożone procesy i tendencje ideowo-polityczne zachodzące wówczas w partiach klasy robotniczej, ruchu ludowym i w innych ugrupowaniach politycznych.

W „Polsce Lubelskiej” wszystkie organizacje młodzieżowe, chociaż w różnym stopniu i zakresie, włączyły się do realizacji podstawowych zadań stojących przed młodym państwem ludowym. Ale już w drugiej połowie 1945 r. sytuacja w ruchu młodzieżowym zaczęła się komplikować — jedną jego działanią została mocno zachwiana, wzmożyły się tendencje odśrodkowe, zaistniało niebezpieczeństwo rozbięcia demokratycznego frontu organi-

zacji młodzieżowych, zerwania współpracy w ramach powołanej jeszcze w Lublinie, z inicjatywą ZWM, przy współudziale OM TUR i „Wici”, w dniu 6 listopada 1944 r. Centralnej, a 9 kwietnia 1945 r. Wojewódzkiej Komisji Porozumiewawczej Organizacji Młodzieżowych.

Lata 1945-1946 były dla polskiego ruchu młodzieżowego wyjątkowo trudne. Powrót do kraju Stanisława Mikolajczyka i działalność opozycyjnego w stosunku do władzy ludowej Polskiego Stronnictwa Ludowego zaktywizowały byłych kierowników i działaczy Stronnictwa Ludowego „Roch”. W niektórych powiatach (np. Zamość, Krasnostaw, Chełm) organizacje SL opowiedziały się za Mikolajczykiem. Do pracy w „Wiciach” włączył się przedwojenny aktyw pozostający pod wpływem PSL, przy czym do powrotu Mikolajczyka znaczna część „wiciarzy” tkwiła w podziemiu. Na 6576 osób, które na Lubelszczyźnie wyszły z konspiracji jesienią 1945 r. — 2/3 stanowili bezowocni, z tym że wielu akowców wpisywało się na listy BCh i jako tacy ujawniali się. Wielu spośród nich wstępowało do PSL. Na naszym terenie członkowie ponad 60 proc. kół „Wici” należeli do BCh, ponad

20 proc. członków do LZK (Ludowego Związku Kobiet), do AK — 15 proc. a do AL — 9 proc.

Obradujący w grudniu 1945 r. Walny Zjazd Delegatów „Wici” przyjął deklarację ideowo-polityczną wzorowaną na przedwojennej, opartej o zasady agraryzmu. Z Zarządu Głównego Związku usunięto radykalnych działaczy z okresu lubelskiego.

„Dziś „Wici”, jak wiadomo, przeżywają kryzys — mówił na I Zjeździe PPR w grudniu 1945 r. przewodniczący Zarządu Głównego ZWM, Aleksander Kowalski — dziś nie słyszy się w powiatach, a żeby koltunieria, małomiasteczkowa reakcja prowadziła jakąś nagonkę, szykanowała czy wylewała kubły pomoy na „Wici”, jak to robiła przed wojną. A przecież reakcja i koltunieria nie zniknęła. One są. Ja myślę, że część kolegów naszych z „Wici” świadomie czy nieświadomie daje się używać politykierom nadającym ton PSL. Jestem przekonany, że „Wici” dzięki swym tradycjom potrafią przewyciężyć te wpływy i odrodzić się jako organizacja młodzieżowa.

ZMW RP „Wici”, który w 1944 r. tak jednoznacznie opowiedział się za władzą ludową, popadł teraz w marazm polityczny. Radykalni „wiciarze” musieli w długotrwałej, ciężkiej walce politycznej uwalniać swą organizację spod wpływów PSL i idei agrarystycznych, nim wyszła ona z tej walki wzmocniona ideowo i raz jeszcze sprecyzowała swój program działania na konferencji ideologicznej w Dębowej Górze w lutym 1948 r.

Wielkie kampanie polityczne tego okresu: referendum ludowe w czerwcu 1946 r., a następnie wybory do Sejmu Ustawodawczego 19 stycznia 1947 r., tocząca się walka o przyszły kształt Polski, istniejące ostre podziały klasowe i polityczne wpływały na przewartościowywanie poglądów i postaw w kierunku lepszego zrozumienia prze-

mian zachodzących w kraju. Szczególną rolę w tym procesie odegrał ZWM, który — mocno związany z Polską Partią Robotniczą — rozwijał wielostronną działalność, starając się wpływać na młodzież o różnych postawach politycznych i światopoglądowych, aby brała ona aktywny udział w realizacji zadań mających podstawowe znaczenie dla perspektywy rozwoju kraju. Będąc organizacją tych, którzy jako pierwsi bez wahań i zahamowań dali dowody patriotyzmu, ofiarności i poświęcenia w realizacji reform społeczno-ustrojowych, ZWM starał się doprowadzić do jednolitego stanowiska wszystkich organizacji młodzieżowych w sprawie referendum. Ale wówczas, w czerwcu 1946 r., kiedy walka klasowa przybierała bardzo drastyczne formy, a na Lubelszczyźnie miała wręcz wiele znamion wojny domowej, jednolite stanowisko wobec referendum zajęły tylko ZWM i OM TUR, wydając wspólną odezwę wzywającą młodzież do głosowania 3 x tak, organizując wiece i zebrania, niosąc pomoc komisjom głosowania ludowego.

Zarząd Główny „Wici”, pozostawiając formalnie swym członkom swobodę głosowania według własnego uznania, w istocie rzeczy przyjął stanowisko PSL. Dlatego też kierując się zaleceniami swego kierownictwa centralnego, członkowie PSL z ZW „Wici” w Lublinie na posiedzeniu Komisji Porozumiewawczej Organizacji Młodzieżowych nie wyrazili zgody na wspólne podpisanie odezwy (opublikowanej przez ZW ZWM i KW OM TUR w dniu 30 czerwca 1946 r. w „Młodej Gromadzie”) wzywającej: *Głosujcie trzy razy tak, bo to oznacza: pracę, chleb, kulturę i oświatę dla ludu, potęgę i wielkość Polski, lepsze jutro młodzieży polskiej.* Dokument ten byli zaś skłonni podpisać ich koledzy z ZW, członkowie SL. Działo się tak dlatego, że w szeregach Związku przez cały czas istnienia

Dokończenie ze str. 1

wskazuje na to, że tymczasowo — w dniu 1 stycznia 1975 roku — posiadali razem 83 aktualne rekordy Polski. Z tego:

Julita Gebkówna	— 43
Tomasz Wolski	— 32
Sławomir Kopeć	— 4
Michał Janiuk	— 2
Jacek Kasperek	— 2

Tego jeszcze w polskim sporcie nie było! Nie tylko w pływaniu. Czyżby więc w Lublinie narodziła się nowa, polska szkoła pływania? Wskazują na to wskazują. Prawda, że do rekordów światowych jeszcze daleko. Ale mistrzowie i mistrzyni nie rodzą się na kamieniu lecz w wodzie. Osiągnięcie klasy mistrzowskiej wymaga wielu lat niezwykle ciężkiej, systematycznej pracy i rzeczywistego talentu. Rekordziści świata spędzają w wodzie od 8 do 10 godzin dziennie, przepływając w tym czasie około 20 km. Na ostatnich mistrzostwach Europy średnia wieku ośmiu finalistów wynosiła wśród mężczyzn 19,5 lat, wśród kobiet — 17,5 lat. Dwóch najstarszych w Lublinie ma, a właściwie zaczyna siedemnasty rok życia, przeciętna pozostałych waha się w granicach 12-15 lat. Wszystkie więc jest jeszcze przed nimi, zarówno dalsze rekordy kraju jak i Europy, a może nawet...

Rekordzistka wśród rekordzistek — Julita Gebkówna — 20 lutego kończy 14 lat. Jak dotychczas, należała do kategorii młodzieży. Według nowej, obowiązującej od 1 stycznia br. klasyfikacji wiekowej, jest już juniorką. I będzie nią nie przez dwa lata, ale tylko przez rok, gdyż nowa klasyfikacja obniżyła granicę wieku. A przecież już dzisiaj ma na swoim koncie ponad 10 rekordów juniorek. Więcej — jej wynik na 400 m stylem zmiennym (5:16,4) jest zarazem rekordem Polski seniorek, do niedawna była także posiadaczką rekordu seniorek na 800 m stylem dowolnym.

Grupa specjalistyczna pływaków i pływaczek składa się w tej chwili z dwięścioro dzieci i młodzieży. Pięcioro to jeszcze uczniowie szkoły podstawowej nr 9 przy ul. Lipowej — Julita Gebkówna, Joanna Pizon, Jacek Kasperek, Sławomir Kopeć i Tomasz Wolski. Pozostali uczą się w liceum na LSM: Iwona Czajka, Marzena Kielczewska, Michał Janiuk i Jerzy Usydus. Wszyscy należą do klubu sportowego „Lublinianka”, tylko Usydus do klubu w Kraśniku, skąd pochodzi (mieszka jednak w internacie w Lublinie). Wszystkie koszty związane ze szkoleniem ponoszą kluby — wynosi to około 3 tys. złotych miesięcznie na osobę. Koszty te obejmują wynajęcie pływalni, opłatę trenera, całonocne odżywianie w kasynie Garnizonowego Klubu Oficerskiego oraz wypłatę rodzicom dopłatę na odżywianie w wysokości 300-500 zł miesięcznie.

amena str. 4

121 rekordów Polski...

dzieci. Prawie wszystkich moich podopiecznych z grupy specjalistycznej właśnie tam wyłowilem.

— Od godziny patrzę na trening pańskiej dziewczynki i trochę mnie dziwi fakt, że tylko pływają i pływają, w dodatku różnymi stylami. Czy to z jednej strony nie za wąska, a z drugiej nie za szeroka specjalizacja?

— Nad wyrobieniem właściwej techniki pływania pracowaliśmy od połowy września do końca listopada, teraz wystarczają już krótkie uwagi. Ich technika jest już zbliżona do dobrej. Zresztą także od budowy anatomicznej danego zawodnika oraz jego zdolności psychofizycznych. Rano, zanim pan przyszedł, była godzina ćwiczeń — jak je nazywam gibkościowo-szybkościowych na podłodze. Jak codziennie. Jestem przeciwnikiem ćwiczeń siłowych. Pływanie samo w sobie jest bardzo ciężką pracą, znawcy porównują je z pracą górnika pod ziemią. Czasem stosuję jednak utrudnienia, zakładając na ręce gumowe, napelnione powietrzem waliki, lub łopatki na nogi. To zwiększa opór wody i zmusza do kolejnego wysiłku. Uważam także, że należy pływać wszystkimi stylami, to wyrobia harmonię ruchów i mięśni.

— Jeżeli porównać lekkoatletykę z pływaniem...

— Opór wody jest oczywiście większy niż opór powietrza, ale pływak całą energię wyładowuje na pokonanie oporu, natomiast człowiek chodzący, biegnący czy skaczący część energii musi wydawać na utrzymanie pozycji pionowej. W tej pierwszej dyscyplinie reguła jest taka, że wraz z latami wzrasta wytrzymałość, stąd zawodnicy przechodzą ze sprintów na biegi średnie, ze średnich na długie dystanse. W pływaniu jest odwrotnie — młodszy zawodnik łatwiej pokonuje dłuższy dystans, starszy krótki. Dlatego tak się dzieje, dotychczas nie ustalono. Ale ta reguła potwierdza się i w mojej grupie.

— Jak wygląda dzień pańskich podopiecznych?

— Treningi odbywają się sześć razy w tygodniu, rano od godz. 8 do 10,45 i po południu 2,5 godziny. W wigilie, święta i Sylwestra także, bo to nie były niedziele, jedyny dzień odpoczynku. Na treningu każdy musi przepłynąć 5,5 km, dziennie 11 km. To dużo? Rekordziści świata przepływają dwa razy tyle. Każdy z naszej grupy od 16 września do 28 grudnia przepłynął prawie 970 km, w ciągu roku będzie około 2,5 tys. km. I za każdym razem z maksymalną szybkością. Czas zawsze mie-

ścierali się wpływy PSL i Stronnictwa Ludowego, stojącego na gruncie sojuszu robotniczo-chłopskiego i razem z PPR, PPS i SD działającego w Bloku Stronnictw Demokratycznych.

ZWM działalnością propagandową starał się objąć i młodzież niezorganizowaną, koncentrując się jednak przede wszystkim na oddziaływaniu na młodzież wiciową i omturowską. Bowiem jedność działania organizacji, a zwłaszcza ZWM i OM TUR, miała decydujące znaczenie dla kształtowania jednolitego frontu całego młodego pokolenia.

W przededniu referendum ZWM rzucił hasło dalszego wzmocnienia wysiłków młodzieży nad odbudową kraju, czego rezultatem było symboliczne otwarcie w dniu 30 czerwca 1946 r. III etapu Młodzieżowego Wysięgu Pracy. Członkowie Związku starali się docierać do wszystkich środowisk. Nie zawsze było to łatwe. Np. większość szkół miała jeszcze charakter elitarny, mieszczkański. Istniały gimnazja oraz licea prywatne i zakonne. Władze oświatowe nie uznawały politycznych organizacji uczniowskich. W wielu szkołach zabraniano nawet przynależności do organizacji ideowo-wychowawczych. W wyższych uczelniach wrzało. Zarówno skład społeczny znacznej części studentów i profesury, jak i ich bezpośrednie powiązanie organizacyjne z działającymi wówczas w kraju różnymi legalnymi i nielegalnymi organizacjami powodowały, że wpływy ugrupowań pravicowych były tu stosunkowo duże. Członkowie Akademickiego Związku Walki Młodych „Zycie” stanowili zdecydowaną mniejszość. W styczniu 1946 r. było ich w Lublinie 600, a w lutym 1947 r. tylko 42, zaś w listopadzie tego samego roku — 160.

Wiosną, przed referendum, nastąpił w całym kraju gwałtowny wzrost liczby zwolenników. W ciągu 1946 r. organizacji lubelskiej przybyło około tysiąca

członków. Do Związku przysła przeważnie młodzież wiejska, chociaż przed referendum i wyborami były miasteczka, kiedy rozbił się przez reakcyjne podziemie ulegały nie tylko kłosa, ale i zarządy powiatowe ZWM. W tym okresie w województwie lubelskim i rzeszowskim ponad 2 tys. ZWM-owców prowadziło działalność w warunkach niemal konspiracyjnych. Coraz częściej pojawiały się w prasie — prawie w każdym numerze „Walki Młodych” — nekrologi z nazwiskami ZWM-owców, a na domach aktywistów napisy: „W dzień do urny — w noc do trumny”.

Mimo trudnej sytuacji i zagrożenia życia, młodzi znajdowali się w pierwszych szeregach walczących o utrwalenie władzy ludowej i realizację podstawowych założeń Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Tylko na Lubelszczyźnie w akcjach propagandowych związanych z referendum wzięło udział około 1000 ZWM-owców.

W ogłoszonym na łamach „Walki Młodych”, w dwa tygodnie po referendum, artykule „Taka jest wymowa głosowania ludowego”, czytamy: *Udział nasz w kampanii głosowania ludowego był wszechstronny. Przeprowadziliśmy w całym kraju tysiące wieców i masówek młodzieży, na których wyjaśnialiśmy nie tylko młodym, ale i starym robotnikom, chłopom, pracownikom, jak wielka jest waga spraw przedstawianych przed narodem w głosowaniu. Nasze brygady propagandowe docierały do najdalszych zakątków kraju. Były przypadki, że docieraliśmy do wiosek zabitych deskami, do których nie dotarła dotąd ani propaganda państwowa, ani żadna z działających legalnie partii, gdzie działali dotąd tylko banderowcy i NSZ. Nie obeszło się przy tym bez ofiar z naszej strony. Wiele tysięcy członków ZWM ochraniało w szeregach ORMO lokale komisji głosowania, strzegąc z bronią w ręku spokoju i porządku, stacząc nieraz krwawe boje z bandami usiłującymi napaść na lokale komisji, pragnącymi zniszczyć spisy głosujących czy rozbić urny wyborcze.*

Istniały kłosa fabryczne i wiejskie ZWM, które w całości zgłosiły się do ORMO.

Okolo 1200 ZWM-owców Lubelszczyzny wchodziło w skład ORMO, a niezależnie od tego wielu pełniło służbę w milicji, organach bezpieczeństwa i KBW. Spośród członków organizacji młodzieżowych stanowili oni najliczniejszą grupę w tych ogniwach władzy ludowej. Na Lubelszczyźnie w okresie wyborów (styczeń 1947 r.) do ORMO wstąpiło 71 ZWM-owców, a niejeden z nich „za ORMO i wybory” — oddał życie. Ogółem z rąk reakcyjnego podziemia zginęło na Lubelszczyźnie ponad 200 ZWM-owców, a wśród nich 7 z Rozkopaczewa, zamordowanych przez bandę „Uskoka” pierwszego maja 1947 r.

W trudnym i pełnym sprzeczności okresie stale rosło współdziałanie organizacji młodzieżowych. Wielki wpływ na kształtowanie jednolitego stanowiska ZWM i OM TUR wywarł aktywny udział członków obu organizacji w komisjach młodzieżowych związków zawodowych, w akcji osadnictwa na ziemiach zachodnich i Młodzieżowym Wysięgu Pracy. Istotne znaczenie dla pogłębienia tej współpracy miała umowa o jedności działania między PPR a PPS z dnia 28 listopada 1946 r., uznająca konieczność bliskiej współpracy i ideowego zbliżenia organizacji młodzieżowych, a także zobowiązująca partie, aby skłoniły OM TUR i ZWM do zawarcia odpowiedniego porozumienia. W kampanii wyborczej obie organizacje działały w Bloku Stronnictw Demokratycznych.

W walce o postęp i lepszą przyszłość narodu zarysowały się korzystne zjawiska i w szeregach „Wici” Początkowo słaby, ale przybierający na sile nurt, zmierzający do odcięcia się od PSL i zrzucający jego patronat, doprowadził do zorganizowania w dniach 4-5 stycznia 1947 r. Krajowego Zjazdu Demokracji „Wici”, który uchwalił rezolucję potępiającą dotychczasową, peeselską linię polityczną i żądał „natychmiastowej zmiany Zarządu Głównego ZWM RP „Wici”.

W wyniku tej akcji i pod jej naciskiem ZG „Wici” ogłosił swoją neutralność w toczącej się walce. W tej batalii o „Wici” współdziałał aktywnie SL, PSL „Nowe Wyzwolenie”, angażowały się w nią także Instancje PPR i ZWM.

W walce o socjalistyczny kierunek rozwojowy Polski — czytamy w Tezach na 30-lecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej — rozwijała się i umacniała sama partia, zyskując aktywne poparcie większości społeczeństwa. Budując fundamenty nowej Polski, dojrzewały politycznie i hartowały się ideowo pokolenia młodzieży polskiej, ofiarnej bojownicy Związku Walki Młodych, a później zjednoczonego Związku Młodzieży Polskiej.

Tak więc aktywne uczestnictwo młodzieży w procesie historycznego zwrotu w życiu narodu, w walce o socjalistyczny kierunek rozwoju Ojczyzny, sprzyjało zbliżeniu między ZWM, OM TUR, ZWM RP „Wici” i ZMD oraz wykrystalizowaniu się harcerstwa jako socjalistycznej organizacji ideowo-wychowawczej, mimo podejmowanych w latach 1946—1947 prób restaurowania skautingu.

Główną siłą w tym procesie był ZWM, który współtworząc i realizując PPR-owską koncepcję wychowania i jedności działania młodego pokolenia poprzez Walkę-Naukę-Pracę, wskazywał swym członkom i całej młodzieży miejsce w życiu, wytyczał właściwy cel podnoszenia godności i wartości człowieka. Działając w tym duchu wpływał na kształtowanie jedności młodego pokolenia, ucieleśnionej po raz pierwszy w Związku Młodzieży Polskiej, powołanym do życia w dniach 20—21 lipca 1948 r. na wrocławskim Kongresie i Zlocie Młodzieży Polskiej.

Zjednoczenie ruchu młodzieżowego w Polsce było więc uwieńczeniem długotrwałej walki i pracy postępowych sił o integrację młodego pokolenia, o ideały i zasady demokratyczne, o jedność młodego pokolenia.



Trener Witold Ruzikowski (z lewej) instruuje Tomasza Wolskiego

Fot. A. Polski

zę stoperem, po przepłynięciu wyznaczonego dystansu każdy przy pomocy świetlnego zegara, wskazującego dziesiąte części sekundy, mierzy tętno. Powinno wynosić około 200 uderzeń na minutę, to znaczy być trzy razy szybsze od normalnego. Jeżeli spada poniżej 180 to znaczy, że właściwie serce leni się, lub jest w wyjątkowej niedyspozycji. Doliczając czas na wyżywienie i szkołę, a także dojazdy, moi podopieczni pracują, i to ciężko, po 11 godzin na dobę, a dwa razy w tygodniu mają jeszcze po godzinie angielskiego.

— Czy nie pozbawia się ich w ten sposób przyjemność wieku dziecięcego i młodzieżowego?

— Częściowo tak, ale to sprawa dobrowolnego wyboru ich samych i rodziców. Zresztą staram się trening przeprowadzać jako zabawę w której uczestnicy znajdują zadowolenie i radość. Chyba ich przekonałem, że jeżeli trening będą traktować ja-

ko ciężki, wymuszony obowiązek, to z wyników będą nicy. Prowadzimy sobie takie wewnętrzne współzawodnictwo. Za każdy trening z widoczną radością to 3 punkty, gdy widać odrabianie pańszczyzny — 2 punkty, objanie się — 1 punkt, niezrealizowany (ale realny) cel — 0 punktów, opuszczenie treningu — minus 1 punkt. A ponieważ wszyscy są ambitni, mówię to szczerze, wyniki są bardzo dobre. Zresztą każdy wie, że jeżeli pływanie znudzi mu się, może w każdej chwili opuścić nasze grono. Jedna dziewczynka, kiedyś najlepsza, tak właśnie zrobiła. Szkoda — ale mówię to trudno.

Gdy wychodzę z pływalni, trener zarządza relaks. Chyba w cudzysłowie — bo polega on na przepłynięciu motylkiem 2 km, tyle że w tempie zwolnionym. Ale który z czytelników potrafi to zrobić w tempie jeszcze wolniejszym?

W mieszkaniu państwa Gębków wita mnie najpierw czarna jak smoła pudła „Baron” i prowadzi do pokoju Julity. Na dużej makacie kilkadziesiąt medali, przeważnie złotych, proporzycy, odznaki. Obok trzy piękne puchary, w tym jeden kryształowy od prezydenta Bory. Na półce nad tapczanem czternaście lalek, kotków, plesków i małpek, ustawionych rzadkiem jak na starcie.

Pani Gębkowa, matka Julity, z widoczną przyjemnością opowiada o córce:

— Najpierw zapisała się do Zespołu Pieśni i Tańca pani Kaniorowej, potem zaczęła się jej podobać pływanie. Ponieważ na dwa pracochłonne zainteresowania nie mogłam się zgodzić, zdecydowałam, że musi sama dokonać wyboru. Zwyciężyło pływanie. Oczywiście, cieszy mnie każdy jej sukces, z przyjemnością przeglądłam prowadzony przeze mnie album z wycinkami prasowymi i fotografiami. Ale Julita wie, że jeżeli opuści się w nauce będzie musiała rzucić pływanie. Jak dotychczas, na to się nawet nie zanosz: na koniec ubiegłego roku szkolnego miała same piątki, od góry do dołu.

— W pływalni słyszałam, że woda zawiera zbyt dużo chloru. To jest szkodliwe.

— Istotnie. Bywało, że zawartość chloru trzykrotnie przekraczała normę. Mimo czepków włosy wypadają, tracą kolor i elastyczność, robią się jak pakuły. Skóra wysusza się, całe ciało po prostu śmierdzi chlorem, a pewnie cierpią i drogi oddechowe. Kto za to odpowiada? Dlaczego w Świdniku jest dobrze, a w Lublinie nie?

— Czy była już mowa o przyszłym zawodzie Julity?

— To jeszcze dziecko, na decyzję dużo czasu. Ona sama kiedyś chciała być lodziarką, potem kelnerką — jak to dzieci. Ale może będzie biologią, albo studia na AWF, gdzie zostanie przyjęta bez egzaminu wstępnego.

— Wracając do chloru. Szkodzi przecież także na oczy.

— Do ochrony służą specjalne okulary. Kiedyś tygodnik „Sportowiec” ogłosił artykuł, że takich okularów u nas brak. Wtedy pochodzący z Lublina, a zamieszkały w Toronto pan Zygmunt Mańkowski poprzez swoich znajomych z Krasnegostaw przesłał Julicie takie okulary. Zgłosił się także drugi Polak, tym razem z Londynu, i podczas pobytu w Lublinie wręczył jej drugie okulary. Bardzo nas to wzruszyło.

Jerzy Dostatni

P.S. Po zmianie kierownictwa obiektu MOSTIW, gdzie znajduje się pływalnia, uregulowano już kilka spraw: zawartość chloru w wodzie nie przekracza normy, temperatura wody i powietrza jest właściwa, poprawia się czystość ogólna. Oby na stałe!

Dzień 2

Z własnej, aczkolwiek przymuszonej woli „załóżkowy” zostałem w oddziale wewnętrznym szpitala neuro-psychiatrycznego. Prócz nagminnej obecności nerwicy, dość zaawansowanej, przymus ten spowodowały przede wszystkim od lat ciągnące się dolegliwości gastryczne, krótko mówiąc choroba wrzodowa. W profesji dziennikarskiej, obok schorzeń układu krążenia, przypadłość niemal zawodowa.

Dzień 3

Oddział liczy 40 łóżek, 4 lekarzy i około 10 pielęgniarek (trudno je policzyć ze względu na różne dyżury). Większość pacjentów stanowią chorzy internistycznie, nie zagrażający otoczeniu przypadków psychiatrycznych, oddziału odwykowego (o wdzięcznej nazwie w żargonie szpitalnym „smakosze”), podsądni przebywający na obserwacji, a także personel szpitala wraz z krewnymi i znajomymi. Przekrój społeczny więc zróżnicowany jak galaretkowa wielosmakowa.

Dzień 4

„Bandzior” zaczęł w świetlicy Wandzie Obłok (*). „Bandziorem” zwą podsądnego, któremu grozi wyrok za pobicie dziecka; („...przezywali, panie, kamkami rzucali, tom wzięł gówniarza i na trawie rzucił. A prekurator zara sankcje, ze jak wypije to agresywny jeźdem, no i tera doktory rozsądzą, czy niepoczytalny jeźdem, czy pójde siedzieć...”). „Bandzior” ma buźkę taką, że mógłby figurować na okładce podręcznika medycyny sądowej, a na zachodzie zrobił by majątek statystując w filmach typu „horror”. Wandzia natomiast jest chroniczna. Na ogół chodzi sztywno wyprostowana, nie uśmiecha się, nie odzywa do nikogo. Podobno będąc w innym zakładzie zaprzyjaźniła się z jakimś chorym, czego efektem było dziecko. Niefortunna parę odseparowano przenosząc do innych zakładów zamkniętych, a owoc tej miłości umieszczono w domu dziecka.

„Bandzior” więc począł nalgrywać się z Wandzi, że się boi, bo poprzedniej nocy w jej sali zmarła jakaś starowina. Wywołało to atak płaczu i wymyślał uśmierzonego zaraz zastrzykami. A że z jej żołądkiem już się polepszyło, więc jeszcze tego samego wieczoru powróciła na swój „macierzysty” oddział.

Dzień 5

„Bandzior” chyba trochę symuluje. Zauważyłem, że jak jest sam, to mniej monologuje, rzadziej pogwizduje pod nosem. Choć to dziwne, bo tutaj symulacja na nie; pan psychiatra odwiedza nas nie często.

Dziś przy obiedzie „Bandzior” (może to jednak krzywdzące przezwisko?) dzielił się z resztą pacjentów swoimi złotymi myślami: „Czemu wariat tak dużo je? A temu, że je głupi. Mądry to wie kiedy jest najedzony, a głupi nie wie. To on je i je bez końca”.

Tezę tę udowadnia pochłaniając nieliczone ilości chleba.

Dzień 6

Wszechpotężna, przytłaczająca szpitalna nuda, w której rytm dnia wyznaczają tylko pory posiłków. Z naszej sali nikt po wezwaniu salowej nie spieszy się do jadalni. Pierwszeństwo mają „filipinki” — grono żwawych starszków, które nim wózek z jedzeniem pojawi się na korytarzu, już tłoczą się pobrękując sztucami. Jedzenie — szpitalna normalka. Może dlatego punkt regulaminu mówiący o odwiedzinach dwa razy w tygodniu nie jest tak ściśle przestrzegany, aby rodziny mogły nieco dokarmić swych najbliższych.

Mimo zapasu lektur (odkładanych zawsze „w cywilu” z powodu braku czasu) czytam stosunkowo niewiele. Bolać oczy i głowa. Ale i tak jestem pewnie rekordzistą, bo nikogo, krom jednej pielęgniarki, której na nocny dyżur pożyczam książki, z lekturą w rękę nie spotkałem. Nawet telewizja wzbudza bardzo umiarkowane zainteresowanie. Ale to nie tylko w szpitalu.

Dzień 7

Blady strach padł na naszą salę. Przed wieczorem przywieziono młodego człowieka z silnymi bólami głowy i torsjami. Po punkcji położono go na dostawce. I wtedy okazało się, że jego bujne poniżej ramion owłosienie dosłownie rusza się. Jeszcze takiej wszawicy najstarsze salowe nie widziały. Mimo natychmiastowej akcji dezynfekcyjnej wszyscy omijają się po głowach. I pomyśleć, że to jest dwudziesty wiek! Mimo woli przypomina się „Konopielka” Redlińskiego, z tym że to nie żadna wiocha wśród bagien, a ćwierćmilionowe miasto, zaś ów 19-letni młodzien jest operatorem nowoczesnej koparki...

Chyba ponad 40 proc. pacjentów oddziału stanowią starszszkowie dożywający tu dni swoich. W większości wypadków ich schorzenia wieku starczego nie rokują nadziei na jakąkolwiek poprawę. Siłą rzeczy ileś tam łóżek zablockowanych jest na dłuższy czas, ponieważ rodziny (zwłaszcza wiejskie) chętnie kłopot ten cedują na państwo. Znany lekarz twierdzi, że sytuacja nie ulegnie poprawie jeśli nie będzie u nas szpitali dla przewlekle chorych, choćby oddziałów geriatrycznych.

NERWY

A swoją drogą ciekaw jestem, co to za bałwan (zapewne bardzo starożytny) wymyślił życzenia długich lat życia, zamiast dobrej śmierci.

Dzień 8

Moja kuracja przeciągnie się nieco z prozaicznej zupełnie przyczyny: w aptece oddziałowej zabrakło jednego ze specyfików.

Dzień 9

„Stonka” atakuje. Atakuje regularnie 5 razy w tygodniu z wyjątkiem czwartków i niedziel. W języku szpitalnym tak się nazywa grupy studenckie odbywające praktykę internistyczną. Kłopotliwe toto jest dla lekarzy, przysparzając im dodatkowych zajęć dydaktycznych (przy stawce za godzinę — 10 zł!), uciążliwe również dla pacjentów. Fakt, że męczą nadprogramowymi badaniami przyjmowany jest raczej ze zrozumieniem (wyjawszy treningi w dożylnych iniekcjach). Natomiast całe przedpołudnie palacze pozbawieni są jedynego pomieszczenia, gdzie oficjalnie wolno uprawiać im ten nalóg.

Dzień 12

Wysłuchuję pogwarek współtowarzyszy niedoli. Temat wiodący to oczywiście własne dolegliwości, obecne, z przeszłości i te które nadejdą. A że prawie wszyscy są rolnikami, to sporo mówi się o urodzaju, kłękach żywiolowych, opłacalności różnych upraw. Trochę ludowych anegdotek, żarcików, zgadywanek. Na przykład: „Kiedy je radość, a kiedy smutek? Radość je wtedy, jak teściowa wpadnie do studni. A smutek? Jak jo stamtąd żywo wyciągnę”. Albo: „Jak wyndzies pod stół, to wylizies, nim weń tasy razy pieńścio udeze! — Cemu? — Jak drugi raz udeze za tasy dni, to z głodu wylizies”.

Dzień 14

Na naszą salę przyszedł przedwczoraj nowy. Lat 48. Fizyczny, jak się podczas obchodu okazało, w takiej formie, że daj Boże każdemu. Wszedł bez słowa, położył się na łóżku i leży tak nakryty kocem po głowę. Co jakiś czas wypada na korytarz, by w ciągłym ruchu wypalić kilka papierosów pod rząd. Był już podobno w tym szpitalu kilkakrotnie, co potwierdza fakt, że pan psychiatra mówi o nim per „pan Izidor”. Na jakiej zasadzie trafił właśnie na ten oddział?

Dzień 15

Moda na problematykę służby zdrowia w naszej publicystyce trwa. Zaw-



75 autorów nadesłało ponad 500 prac na VI Ogólnopolską Wystawę Fotografii Krajoznawczej „ZABYTKI”, organizowaną tradycyjnie przez Muzeum Ziemi Zamojskiej, Oddział PTTK w Zamościu i Zamojskie Towarzystwo Fotograficzne pod patronatem FASF w Polsce oraz Komisji Fotografii Krajoznawczej ZG PTTK. Do ekspozycji zakwalifikowano 135 fotografii 48 autorów.

I nagrodę (MKIS) oraz dyplom Federacji ASFP otrzymał Zenon Harasym z Wrocławia. II nagrodę (Wydz. Kultury i Sztuki UW Lublin) — Jacek Kądzek z Krakowa, III nagrodę (ZG PTTK) — Fryderyk Kremser z Opola, a dwie IV nagrody (ZG PTTK) — Andrzej Bąk z Zamościa i Grzegorz Bojanowski z Łodzi. Dyplom i nagrodę Komisji Fotografii Krajoznawczej ZG PTTK otrzymał Janusz Urban z Lublina, Marek Józków z Koszalina, Jan Spalwan z Kielec, Karol Walaszczyk z Radomska i Jan L. Zych z Krakowa otrzymali wyróżnienia. Otwarcie wystawy w zamojskim Centrum Informacji Turystycznej (I.XII) połączone z regionalnym sejmikiem społecznych opiekunów zabytków, działających w ramach PTTK. Na zdjęciu praca Jana L. Zycha: „Baśniowy Kraków”.

sze jakoś nabrzmiałe problemy społeczne (np. także szkolnictwa) chcieliśmy rozwiązywać szybko, tanio i skutecznie. Tym razem „Polityka” publikuje wydaję się potrzebną dyskusję o psychiatrii, ściślej — o kolejnym, ponoć 36 projekcie ustawy psychiatrycznej, w której poczesne miejsce zajmuje problem przymusu leczenia.

Oto fragment wypowiedzi zastępcy dyr. Zespołu Psychiatrycznej Opieki Zdrowotnej w Warszawie:

NERWY

Dziś coraz częściej mamy do czynienia z sytuacją, w której rodzina żąda od nas przyjęcia pacjenta, często wbrew jego woli i nie kwapi się do jego powrotu... Na podstawie wieloletnich doświadczeń z największego szpitala psychiatrycznego w kraju: W ciągu trzech lat około 30 proc. chorych (z ogólnej liczby 2,2 tys.), po średnim okresie hospitalizacji 8 lat, przysposobiliśmy do powrotu do domu. Ich nienaturalny status wiekuiestych pacjentów szpitalnych nie był efektem ich choroby, ale innych układów o charakterze nie tylko medycznym.

Współzależność okresu hospitalizacji ze stosunkami w swoim środowisku ilustruje na naszej sali pacjent Michałek. Długo był soltysem w swojej wsi. Jak mu to soltyśowanie wychodziło i jakie stosunki były w rodzinie — trudno dociec. W każdym razie w ostatniej chwili odcięło go od sznura; tak tu trafił. W ciągu miesięcznego pobytu ponoć tylko raz odwiedził go syn. Michałek jest dość zniezdolniony (bardziej fizycznie niż psychicznie), wiek zrobił

swoje, toteż z pewnością w gospodarstwie nie bardzo jest przydatny. Syn, mieszkający w mieście, też nie chce go wziąć do siebie. Wczoraj, kiedy w trakcie obchodu ordynator wspomniał o powrocie do domu, to po wyjściu lekarza zwyczajnie się rozplakał: „No i gdzie ja pójde? Teraz to się tak powieszę, że mnie nie znajdują”. Wieczorem powiedzieliśmy o tym ordynatorowi. Pokiwał smutnie głową: „Uważajcie na niego”.

Trochę jeszcze poleży. A potem?

Dzień 18

Nie tylko to, co dobre ma swój koniec, więc i mój pobyt w szpitalu powoli dobiega do finiszu. Jeszcze tylko kilka codziennych zabiegów, porcja „prochów” do każdego posiłku, trochę przekomarzań się na sali typu czarnego humoru, kogo to następnego dosięgnie swą kosą ta wysoka, chuda pani, która coraz nawiedza szpital (swoją drogą to znamienne, jak tutaj w zupełnie inny sposób, powiedziałbym jakiś naturalny, podchodzi się do tego niezbyt w końcu miłego ostatniego aktu ludzkiego żywota).

W jadalni, gdzie to piszę, od dłuższego czasu siedzi w kąciku pacjentka. Znam ją, jak wszystkich „starych”, z widzenia. Jak zawsze w jedwabnej chustce na głowie, siedzi na brzegu krzesła, nawet nie w okno, a w krawędź stołu wpatrzone. I myśli o pozostawionych dzieciach, gospodarce, nie wykopanych ziemniakach? Nie wiem. Wydaje się, że ona po prostu siedzi i się leczy. Tak jak pasażer w pociągu, pozornie beczynnym oglądając mijany krajobraz, zdąży jednak do określonej stacji.

Ta nasza „podróż” dla jednych jest dłuższa i bardziej męcząca, dla innych krótsza i wygodniejsza. A stacja docelowa jednaka...

* Wszystkie imiona i nazwiska w tekście fikcyjne.

PROWADZA spory na łamach prasy fachowej, ponieważ wyznają rozmaite poglądy artystyczne, zajmują różne postawy twórcze, weryfikowane następnie określonym kształtem spektakli teatralnych. Wójcując o nową formułę teatru lalkowego, Krystyna Milobędzka pisała nie tak dawno:

Wyobraźnia dziecka — a raczej to, co dorośli uważają za wyobraźnię dziecka — jest niewiedzą, jest brakiem wiadomości o dziesiątkach dzieł, które ją otaczają. Taka jest zresztą i ogólnie nasza wyobraźnia, dorosłej, tyle tylko, że nasze obszary niewiedzy są gdzie indziej. Więc dlaczego my, dorośli, chcemy z uporem utwierdzić dziecko w jego dziecięcym świecie, w jego dziecięcej niewiedzy, w jego błędach, budując na tym sztuki, fabrykując niezdarne w naszym wykonaniu błędy-cuda, skoro mamy własną wiedzę, własne błędy i cuda do przekazania? Obojętne — czy będzie to niepojęty świat teatru, czy będzie to niepojęty fakt życia.

Mają swoje ambicje, potknięcia i osiągnięcia. Laury i kołce. Mają spotkania i festiwale. Regionalne, ogólnopolskie i międzynarodowe. Nagrody i wyróżnienia. Medale i dyplomy. Ludzie teatrów lalek i aktora w Polsce. Traktujący swoją niezwykle trudną profesję absolutnie serio i z absolutnym oddaniem, rzekłbym nawet — poświęceniem, albowiem w tym przypadku inaczej nie można i nie da się.

Trudno jednak ukryć, iż w prymitywnym i dosyć powściązłym odczuciu, a czasem nawet i w świadomości urzędników z niższych szczebli administracji kulturalnej, profesja ta nosi znamie pewnej drugorzędności w zestawieniu z potencjami i potrzebami wielkich scen teatralnych, operowych, operetkowych, estrad muzyki cięższej i lżejszej. Aczkolwiek żaden przeciętnie nawet rozsądny człowiek nie uzna wychowania swych latorośli za sprawę drugorzędną, ani żaden urzędnik nie zaneguje wagi tego „zagadnienia”, chyba że na działalność placówki artystycznej spojrzy wyłącznie przez pryzmat „masowego wykonu usług dla ludności”. Bo gdyby nawet spojrzeć z czysto ekonomicznego punktu widzenia dopłat państwa do biletów, to lalkowe teatry bronią się znakomicie w zestawieniu ze swymi wielkimi konkurentami. Zaś — jak wiadomo — nie wszystko daje się przeliczyć na pieniądze, a już z pewnością kształtowanie wrażliwości dziecka.

Ze pewien niepokój o sprawy teatrów lalkowych nie jest tutaj „genialną intuicją” dziennikarską, świadczy choćby kwestia szkolenia aktora dla tych teatrów. Gdzieś się chyba kołaczę poglądy, iż aktor w teatrze lalkowym to jest jakiś gorszy gatunek aktora, który nie posiada możliwości pełnego „wygrania się”, a też i nie musi mieć najwyższych kwalifikacji zawodowych. W tym układzie szkolnictwo dla aktorów teatrów lalek do niedawna praktycznie nie istniało. Parę lat temu otwarto 3-letnie studium aktorskie we Wrocławiu, obliczone na potrzeby lokalnej placówki. Dopiero rok temu zostało ono przekształcone w filię krakowskiej PWST z czteroletnim tokiem studiów. W 1974 roku otwarto przy placówce białostockiej kilkunastoosobowe studium aktorskie, które ma być przekształcone w filię warszawskiej PWST.

I to by było mniej więcej wszystko, aczkolwiek sam pomysł uruchamiania studiów aktorskich przy konkretnych teatrach lalek, a następnie przekształcania tych studiów w „regularne” filie PWST — wydaje się niezgodny. W tej sytuacji sukcesy naszych teatrów lalkowych (także na forum międzynarodowym), w czym mają pierwszorzędny udział również aktorzy, są, jeśli chodzi o tych ostatnich, bardziej kwestią mroźnej pracowitości i wrodzonych dyspozycji „genialnych amatorów”, niż sprawą podstawowego, wyższego kształcenia w sposób zorganizowany. Ci ludzie osiągnęli w końcu — drogą eksternistyczną — zawodowe uprawnienia aktorskie i — drogą żmudnej praktyki — wysokie kwalifikacje artystyczne, tylko pytanie — za jaką cenę i dlaczego to się musi odbywać długotrwałą metodą chałupniczą? Jest też faktem, iż zespoły aktorów teatrów lalkowych nie są już pierwszą młodocianością, zaś nadmiar nowych adeptów-beanów jakoś nie widać. Powiedzmy sobie otwarcie — terminowanie w zawodzie aktora-lalkarza jest u nas długotrwałe, uciążliwe i niewdzięczne, choć sam zawód wymaga nie mniejszych dyspozycji i wiedzy niż zawód aktora teatralnego czy filmowego, a może nawet większych, bardziej wielofunkcyjnych.

Zeby się nadmiernie nie pastwić nad całością sprawy, nie będę już wspominał o delikatnej kwestii opłacalności pracy scenografa w teatrze lalkowym, która jawi się widmowo, szczególnie, iż musi on doglądać również cudów perukarstwa i szewstwa na przykład, bo i o tych fachowców coraz trudniej dla teatru, skoro zlikwidowano jedyną w kraju liceum technik teatralnych w Warszawie, zresztą już kilkanaście lat temu. Dodam również, że u nas się nie kształcą reżyserów teatrów lalkowych, ale tak jest podobno na całym świecie z wyjątkiem Czechosłowacji. W każdym razie nie wiem, a i nie chciałbym, żeby sprawa teatrów lalkowych wyglądała w Polsce jako hobby wąskiego grona starzejących się szlachetnych zapaleńców na wymiarciu!

Państwowym Teatrem Lalki i Aktora im. Andersena w Lublinie kierują ludzie młodzi, a w każdym razie nie starzy. Dyrektor Mieczysław Ciesielski objął tutaj stanowisko od 1 lutego 1974 roku. Ma ukończone studia pedagogiczne ze specjalizacją w wychowaniu przez sztukę w klasach I-IV. Pracował w administracji kulturalnej i w Młodzieżowym Domu Kultury, gdzie szczególnie poświęcał się kwestiom wychowania pozaszkolnego. Powiada:

— Z moim przygotowaniem nie widzę siebie w innej pracy jak ta. I nie sądzę też, by funkcja dyrektora miała się sprowadzać do jakichś papierkowo-administracyjnych czynności. Jesteśmy instytucją otwartą i jej dyrektor musi być rodzajem socjalistycznego menadżera teatralnego, choć takich u nas nie kształcą. Tu nie chodzi tylko o produkcję premier jakiej się od nas wy-

maża, nie chodzi jedynie o plan przedstawień, który mamy realizować. Chodzi przede wszystkim o całą sferę kontaktów z instytucjami współpracującymi, ze szkołą głównie. O badanie roli takiej placówki jak nasza w zakresie wychowania estetycznego. O orientację, co się dzieje w sprawach lalkarstwa na rynku środków masowego przekazu, telewizji głównie. Polska literatura dotycząca wychowania estetycznego jest bodaj najlepsza na świecie, tylko w praktyce jakoś ciągle za mało wiemy, co robimy i jakie są wyniki naszych efekty. Teoretycznie roli wychowania przez sztukę w teatrze lalkowym nikt nie neguje, u nas trzeba to głębiej ugryźć od strony praktycznej. Chcemy w naszym teatrze udowodnić, że taką placówkę należy tworzyć z pedagogiem i socjologiem...

MAŁY TEATR



Fot. A. Polakowski

DUŻA SPRAWA

Maciej Podgórski

Włodzimierz Felenczak, kierownik artystyczny lubelskiego teatru lalek, objął swoje stanowisko 1 września 1974 roku. W roku 1972 ukończył wydział reżyserii i dramaturgii teatru lalek w Akademii Sztuk Pięknych w Pradze. Zaraz potem pracował jako reżyser teatru lalkowego w Białymostku i kierownik literacki warszawskiego „Guliwera”. Powiada:

— Obaj z dyrektorem zgadzamy się w jednej głównej sprawie — nie można posługiwać się drętwą, bezpośrednią dydaktyką. Sztuka jest przede wszystkim zabawą i niejako przy okazji wychowuje człowieka umiającego marzyć i wzruszać się...

Obaj przyszli do placówki, która właśnie kończyła 20 lat swego istnienia. Zastali jeden z lepszych i bardziej zasłużonych zespołów aktorskich w Polsce, który szkołą zawodu zdobył w teatrze, bo niby gdzie miał zdobyć. Objęli teatr, który niejedną sukces zapisał na swym artystycznym koncie, co nie oznacza — wierzę — iż nie można już nic ulepszyć czy zrobić po swojemu.

Jeśli idzie o doświadczony zespół aktorski, w którym sporo byłych polonistów, jeden plastyk z ZPAP i jedna śpiewaczka po konserwatorium, to z tym najmniejszy kłopot, aczkolwiek myślą o utworzeniu studium aktorskiego przy teatrze (na razie kształcą dwu adeptów). Jeśli idzie o kwestie scenografii, ale szczególnie obsady pracowni specjalistycznych, to sytuację ratują nieco absolwenci Liceum Sztuk Plastycznych z Naleczowa, którzy jeszcze jako uczniowie odbywają praktyki szkolne w teatrze, a następnie angażują się tam do pracy. Tak się jakoś lata tę lalkarską „bidę”, będącą wyznacznikiem sytuacji ogólniejszej.

Jeżeli dyrektor Ciesielski serio chce traktować swe menadżerskie powołania i ambicje, to rozdział funkcji dyrektora i kierownika artystycznego, nie tak znowu popularny w lubelskich placówkach artystycznych, wydaje się nadszycząz sensowny, w każdym razie o wiele sensowniejszy niż kilkumiesięczne bezholowie w teatrze dramatycznym (szczególnie w sytuacji, kiedy Andrzej Rozhin, zresztą wychowanek lubelskiego teatru lalkowego, a następnie szef studenckiego „Gongu”, pojechał dyrektorem do Gorzowa). Teatr bowiem, jakkolwiek był by był, jest instytucją gdzie kwestie organizacyjne w szczególności ściśle sposób wiążą się z kwestiami merytorycznymi, „produkcyjnymi”.

Daruję sobie rozwijanie, wielokrotnie już publicznie eksploatowanych, twierdzeń, iż za późno jest rozpoczynać uczenie sztuki w szkole średniej, że teatr lalkowy ma niepowtarzalną szansę wyrobienia u dzieci emocjonalnej potrzeby bezpośredniego przeżywania słowa literackiego, plastyki i muzyki (czego nie zastąpią lalkowe spektakle TV), kształcenia wrażliwości i tak dalej. Mam natomiast ochotę przyjrzeć się, jak lubelski teatr lalkowy próbuje docierać do widza, organizować widowiska, słowem — jak sprawdzają się dyrektorskie sny o socjalistycznym menadżerstwie.

Oto została zawarta umowa z MPK, dzięki której, korzystając z miejskiego taboru komunikacyjnego, co niedziela dowozi się do teatru dzieci z peryferyjnych dzielnic Lublina i z podlubelskich wiosek. Kiedy rozmawiałem z dyrektorem Ciesielskim i Włodzimierzem Felenczakiem, który zresztą oświecił mnie w sytuacji polskiego lalkarstwa, akcją objęto już dzielnice: Za Cukrownią, Krochmalna, Tatary i Stawinek oraz miejscowości: Wólka Lubelska, Hajdów i Mętów. Nie trzeba dodawać, że idzie tu także o transport z teatru. Oczywiście, w pierwszym takim przypadku musiała „pójść” informacja do szkół, i to informacja w postaci nie tylko programów teatralnych, ale również ulotek dla nauczycieli (trzeba sobie tylko życzyć, by następne ulotki zawierały nie tyle literackie omówienie walorów spektaklu, ile określone wskazówki pedagogiczne, w jaki sposób przygotować dzieci do odbioru konkretnego przedstawienia).

Przednim także pomysłem jest pójście z teatrem lalkowym do przedszkolaków, do widowni najmłodszej, która jeszcze nie do bardzo nadaje się do sali teatralnej, bo fotele potrafi obłuskać czy nagle wyjść z przedstawienia. Toteż teatr powinien wejść z przedstawieniem do przedszkola, co rozpoczęto spektaklem „Czerwonej czapeczki”. Pójście, wyjście, wejście, ale sam mam przedszkolankę w domu i wiem, jak ona kręci się i nie wytrzymuje pełnego spektaklu lalkowego w teatralnej sali. I tu nawet nie szło by o przeniesienie żywcem teatru do przedszkola, jak to w kraju usiłują bez powodzenia robić niektóre placówki, lecz o stworzenie zupełnie nowego rodzaju widowiska, specjalnie przystosowanego do warunków owego mikroświata, jakim dla dziecka jest przedszkole. Wtedy teatr staje się naturalną częścią tego mikroświata, a dzieci bohaterami tego spektaklu.

Zresztą teatr jako całość zawsze powinien budować swoisty mikroświat. Toteż nie bez znaczenia jest, że dyrekcja lubelskiej placówki udało się zlikwidować 25-letni, obskurny drewniak na przyteatralnym placu, gdzie w przyszłości stanie, być może, pomnik Andersena. Ze myśli się o likwidacji pseudonowoczesnych ozdobałów w hallu teatru i koszmarnego plafonowego oświetlenia na sali widowiskowej, nie liczących ze starożyteckim urokiem staromiejskiego wnętrza. To wszystko ma także znaczenie dla atmosfery tego szczególnego teatru, atmosfery — jak pięknie napisała kiedyś Maria Bechzyć-Rudnicka — nie skażonej egotyzmem i pychą od strony sceny, snobizmem i krytykanctwem od strony widowni.

Już za czasów dyrektorstwa Mieczysława Ciesielskiego, ale jeszcze w okresie opieki artystycznej znakomitego Stanisława Ochmańskiego, wystawiono spektakl Krystyny Milobędzkiej pt. „Ojczyzna”, wyraz poszukiwań nowej formuły teatru lalek i aktora. Potem przyszedł „Rudzik” w inscenizacji i reżyserii Włodzimierza Felenczaka, jeszcze inne spojrzenie na teatr lalkowy. Było też nieco bardziej tradycyjne widowisko baśniowe „Ali Baba i 40 rozbójników”.

Można by sobie wierzować, żeby lubelska placówka nadal zachowywała ten poszukujący charakter. Ze namawiam tu do eksperymentów na wyobraźni dziecięcej? Ostatecznie to dorośli wychowują dzieci i dorośli mają prawo szukać jak najskuteczniejszych metod wychowawczych. Chyba, że sobie powiemy, iż nasze dzieci wychowują się same!

Na koniec marzyłby mi się jakiś teatr mario-netkowy dla dorosłych, gdzie dorośli mogliby coś powiedzieć dorosłym, teatr wychodzący z tradycji średniowiecznej farsy. Scena odrębna, nie zaś ukradkiem przepychane przedstawienia w salach teatru lalkowego dla dzieci. Może Lublin doczeka i takiej sceny, są bowiem jeszcze rezerwy lokalowe w kamieniczce, którą zajmuje Teatr Lalki i Aktora im. Andersena.

troską, jaka ogarnęła mnie pięknego dnia 21 października ubiegłego roku, kiedy pociąg Moskwa-Warszawa-Paryż wtaczał się pod zakopane sklepienie Gare du Nord — było, czy aby francuscy przyjaciele otrzymali w porę mój telegram. Lecz za chwilę sprecyzowała się już na peronie sylwetka François Terrala (którego ładną muzykę do „Różowej róży” Lublin słyszał parę lat temu). Ucałowaliśmy się z dubeltówki i po niedługim czasie została ułokowana w schludnym hoteliku „Nord et Champagne” przy rue de Chabrol, koło bulwaru Magenta, słowem — w „mojej” od zeszłego roku dzielnicy.

François Terral odchodził nie żegnając się — mamny spotkać się wieczorem na obiedzie u dyrektora Théâtre 71, Kayata. Wyskakuję czym prędzej z hotelu po „l'Officiel des spectacles”. Silva rerum. Wolnego, rozważli, tylko się nie spieszy. W ogóle warto by na początek wyzwoleć się cokolwiek z obsesji teatralnej. A więc — rubryka Expositions... Jest! Jest Centenaire de l'Impressionnisme. Wymarzyłam to sobie jeszcze w Warszawie. Skala światła. Impresjonizm moja miłość nieprzemijająca.

Trzeciego dnia paryskiego wychodzę z metra na stacji Clémenceau. Przed staruszką Grand Palais tłumy. Pod opieką czujnych grup policjantów — znów wyróżnik epoki atomowej, czasu politycznych, bombowców, międzynarodowych złodziei-wirtuozów, groźnych maniaków, Herostratów. Na zewnętrznych monumentalnych schodach gęsta kolejka miłośników sztuki i snobów.

Nareszcie u kasy. Wejście 8 frs (około 1,60 dolara) plus 2 frs za „petit Journal des grandes Expositions”. Przeczytam go sobie później, w hotelu. Na razie — patrzeć, patrzeć. Zdając się na pamięć rozpoznawać starych znajomych z galerii Pałacu Luksemburskiego i z reprodukcji rozsianych po albumach.

Oto więc Cézanne: „Martwa natura z marmurowym zegarem”, namalowana kiedyś u Zoli i je-

muż podarowana; zagadkowy „Dom wisielca” — kawałek pejzażu przywiezionego z prowincji francuskiej; „Salaterka, szklanka i jabłko”, obraz nadszedły swego czasu do Gauguina; „Zatoka Marsylska widziana z Estaque” — przyćmiona czerwień dachów w łagodnym przeciwstawieniu miasterni-

monstracyjnej wystawie impresjonistów; nie dopuszczonych do oficjalnego Salonu. Zwiędzający tłoczą się przed szeroko spopularyzowaną reprodukcją białą „Kobietą z papugą”, mnie zaś rozczuliła parka flirtująca „Chez le Père Lathuille”, w tej scenerii niedyskretnie restauracji ogródkowej bulwaru Cléchy, nie opodal pewnej kawiarenki, gdzie spotykali się impresjoniści. Zezwoliłam sobie ulec czarowi paselistycznego tematu (a niech tam se sztydzą nasi abstrakcyjniści tudzież conceptualiści!).

Po części ta sama przyczyna uwarunkowała euforię, w jaką wpadam przed niektórymi dziełami Klaudiusza Moneta (8 płócien) i Renoira (6). Ale proszę wstrzymać się z ironią, chodzi tu jednak szczególnie o fakturę. I cóż za ciekawa konfrontacja ujęcia „Grenouillère” przez tych dwóch impresjonistów par excellence! Jedyna w życiu indywidualnym, niepowtarzalna okazja obejrzenia obydwu oryginałów naraz: jeden bowiem sprowadzono z nowojorskiego Metropolitan Museum of Art, drugi — z Muzeum Narodowego w Sztokholmie. Widzimy — rzeczywiście Monet bardziej zaznacza kontury, Renoir odmienna temat lekkim zamgleniem.

A przesławny „Bal du Moulin de la Galette” który Renoir malował z natury, mieszkając na Montmartrze! Któż poza dzisiejszymi skartowiaczami, spóźnionymi epigonami obrazoburczego Tristana Tzara miałby odwagę negować cenność piktoralną tej fascynującej reminiscencji?

Nie zabrakło w Grand Palais i Sisleya z jego migotliwą wodą w „Inondation à Port — Marly”. Są: Frédéric Bazille, Boudin, Caillebotte, Mary Cassatt, Guillaumin, Berthe Morisot, Camille Pissarro.

Dlaczego mówi się o tej wystawie wielką?

Podajam przy nazwiskach kilku malarzy liczby eksponowanych obrazów (8, 6, 5...). Przy Cézanne wymieniam zaledwie cztery pozycje. Mój ty Boże! Wystarczy przewertować monografię Raynala z r. 1954 by naliczyć ponad sześćdziesiąt reprodukcji arcydzieł. Każdy rozumie, iż pełna monograficz-

W PARYŻU BEZ MISJI

zróżnicowanemu błękitowi morza. Degas, reprezentowany ośmioma płótnami. Wśród nich nieduży obraz, który zapoczątkował słynną serię malarza pokazującą tancerki w ich pracowniach ćwiczebnych. Oczywiście jest i Edward Manet (5 pozycji), choć wstrzymał się od udziału w pierwszej, de-



Pierre-Auguste Renoir, „Wielkie śnie” otówek, 1884-85. J. Laroche'a, Paryż walo na wystawie „l'Impressionnisme”.

Pierwsze wrażenia

MOŻE powinienem zacząć, jak to zwykle czynią reporterzy w relacjach z podróży, od pierwszych wrażeń doznanych po przekroczeniu granicy Republiki Federalnej Niemiec z Niemiecką Republiką Demokratyczną, po zobaczeniu Łaby, nad którą rozłożyło się przygraniczne miasteczko Lauenburg. Pewnie powinienem więc pisać o szybkościach na tamtejszych autostradach, o owych piętnastu milionach samochodów osobowych oraz pięciu milionach ciężarowych i autobusów, o pejzażach, przypadkowo spotkanych ludziach z tamtej już strony, wreszcie o zatłoczeniu na ulicach wielkiego Hamburga, niebezpieczeństwach jazdy, gdy trzema rzędami po każdej stronie suną tysiące pojazdów, a samemu jeździło się, owszem, po Warszawie nawet, ale takśówką.

W tych pierwszych jednak godzinach i dniach w moich zapiskach najwięcej miejsca znalazły sceny obyczajowe, problemy ekonomiczne i społeczne, które napraszały się najbardziej oczom podróżnika. Czasem wprost na ulicy, najczęściej jednak wieczorem po powrocie do gościnnych domów korespondencyjnych i nowych całkiem znajomych, a także w samochodzie, wpisywałem coraz to inne spostrzeżenia, nowe wrażenia i własne myśli z nimi związane, kreśliłem pierwsze oceny, które niejednokrotnie później ulec musiały korektom. Wtedy ledwie się rysowały, wymagały dalszych reporterskich obserwacji, rozmów, pytań i dyskusji, niekiedy sporów przy niemieckich lub francuskich koniakach. Nasze polskie wódki, przywiezione przez nas w upominku, stawiano z należnym im nabożeństwem w podręcznych barach, albo na kredensie, na widocznym miejscu, czyniąc z nich niejako doraźny ołtarzyk.

Piszę tu w liczbie mnogiej, gdyż jeździliśmy jednym samochodem z melonogórkim przyjacielem Bogusławem Olechnowskim, działaczem tamtejszej spółdzielczości mieszkaniowej, zwołanym filatelistą. Różne więc były nasze hobby, cel jednak wspólny: pragnęliśmy możliwie najlepiej i najdokładniej poznać Berlin Zachodni i Republikę Federalną Niemiec z wszystkimi jej przesyłnymi związkami.

Spostrzegaliśmy to już w Berlinie Zachodnim, ale w RFN, szczególnie w Hamburgu — w przesławnej dzielnicy Sant Pauli z jej ulicą Re-

ZAPISANE MIĘDZY ŁABĄ A

nie seksem jeszcze bardziej rzucało się w oczy: z kolorowych okładek czasopism którymi obwieszono są kioski, z reklam kin, witryn księgarń sex-shopów, anonsów burdelów, z ich głębokich okien zachęty z żywymi eksponatami, łaźni, salonów masażu, kabaretów, restauracji i barów. Przyjdzie o tym napisać obszerniej.

Równoległe z agresywnością seksu szuchały się w oczy ceny, najbar-

ciej galopadzie cen wpięty strajki cestrzegawcze, nazywane przez burżuazyjną prasę dzikimi, a które następnie objęły w całej republice inne jeszcze przemysły, przekształciły się w regularne, a odporne przedtem centrale związkowe zmuszone były uznać je za legalne. Chociaż rząd bofiski dopłaca w ramach tzw. „Zielonej Europy” 4 mln. marek dziennie, aby uchronić od ujemnych skutków polityki rolnej EWG zarówno nie-

przeciwstawiające się drożyznie. W Dortmundzie spisałem z plakatów zapisanego dużymi, czerwonymi literami, zanim go zdarli policjanci:

Runter mit den Preisen — koempfen Sie mit uns, schlissen Sie sich uns an!

Oznacza to: W dół z cenami — walcicie razem z nami, przyłączcie się do nas!

Kiedy dojechaliśmy do Essen, zawędrowałem do dzielnicy Krays. Stałem przed oknem wystawowym tamtejszego rzeźnika, by zanotować ceny niektórych produktów. Nielatwa to sprawa, zwyczajni jesteśmy wszystko wyceniać, biorąc za podstawę kilogram. Tam zarzucono nawet połowę tej miary, czyli funt. Właściciele dostosowują porcje do zwyczajów gospodyń robiących zakupy, a te ograniczają je oczywiście odpowiednio do cen. Wszystko odważane jest więc w porcjach stugramowych, z rzadka tylko pięćsetgramowych, czyli funtowych. Zapisując przeliczałem więc ceny na wartość kilogramową, a marki na dolary. Cokolwiek wzięłbym pod uwagę, żywność jest w RFN o wiele droższa niż u nas. Dopiero stojąc przed oknem wystawowym w którymkolwiek kraju zachodniej Europy możemy sobie w pełni zdać sprawę, jak doniosła waga dla polskich obywateli są decyzje partii i rządu, które pozwoliły w ostatnich latach utrzymać cenę podstawowych produktów żywnościowych na niezmiennym poziomie.

Dopóki stałem i patrzyłem, sklepikarz nie interesował się mną, gdy jednak wyjąłem notes i coś zapisałem, zaraz z żoną stanął groźnie na progu. Odszedłem. Dopiero potem zrozumiałem, że powinienem być spokojnie spełniać swoje reporterskie obowiązki dalej, bo to oni bali się mnie. Myśleli, że jestem z niemieckiej kontroli cen. Obszedłem rynek, a rzeźnik stał wciąż przed sklepem i niespokojnie mnie obserwował. Deszedłem w końcu do dworca kolejowego Essen-Kray i siedłem na ławce nie opodal dwóch robotników popijających piwo z pobliskiego kiosku. Porządkowałem notatki sprzed chwili. Popatryli na



Wszystko odważane jest w porcjach stugramowych, z rzadka tylko pięćsetgramowych, czyli funtowych. Fot. Archiwum

dziej w sklepach spożywczych. Sierpniowe i wrześniowe gazety, które codziennie braliśmy do rąk, przypominały, że w latach poprzednich koszty utrzymania wzrastały konsekwentnie i nieopohamowanie średnio o 7,2 procent, a rok 1974 uznawały za rekordowy. Później okazało się, że wprawdzie RFN w Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej najzorniej przechodziła zachodni kryzys ekonomiczny, to jednak obywatele tego kraju „wszelakiej pomyślności” odczuli go dość dotkliwie, a obecnie dodatkowo pogłębia ten proces wzrastające bezrobocie. Już w 1973 roku latem i jesienią kobiety bojkotowały sklepy mięsne, a metalowcy wszczęli prze-

mieckich chłopów, jak i choć w części konsumentów, to jednak owe 1460 000 000 DM nie pozwoliły zahamować wzrostu cen żywności.

— Die Preise, aber die Preise! — Ceny, ależ te ceny! — wzdychali nie raz i nie dwa nasi rozmówcy.

Będący już spory czas u władzy socjaldemokraci spotykają się z dość ostrą krytyką we własnej partii, szczególnie ze strony nielicznych zresztą odłamów radykalnych, jak też swojej młodzieży, tzw. Jusos, czyli młodych socjalistów. Szczególnie ostro krytykuje rząd SPD-FDP Deutsche Kommunistische Partei. W wielu miejscach, zarówno w Berlinie Zachodnim, jak i w RFN, spotykaliśmy napisy na murach ostro



— etu-
Kapłaczy
Kolekcja
Le figure-
Centenaire

na ekspozycję dzieła samego Cézanne'a byłaby przedsięwzięciem karkołomnym. Omawiana paryska wystawa zbiorowa impresjonistów jest wielka dlatego, że pokazano na niej nie tylko pozycje z francuskiej kolekcji państwowej (od tego istnieje Galerie du Jeu de Paume w Luwrze, lecz dużo obrazów pożyczonych za granicą poza wzmiankowanym już Nowym Jorkiem i Sztokholmem, w Bostonie, Birminghamie, Moskwie, Kansas City, w prowincjonalnych muzeach Francji, w mnogich kolekcjach prywatnych.

„Le petit Journal des grandes Expositions” wyjaśnia szerokiej publiczności, iż aktualny obchód stulecia impresjonizmu wiąże się z rokiem 1874 dla tej prostej przyczyny, że wówczas to urządzono w atelier Feliksa Nadara, znanego fotografa (dziś powiedziałoby się — fotografika) pierwszą wystawę niezależnych artystów, do których przylgnęło potem przypadkowo miłośników impresjonistów. Właśnie na owej wystawie, w zetknięciu z dziełami z publicznością, ujawniły się i sprecyzowały kielkujące wcześniej tendencje odmiennego spojrzenia na rolę światła w stosunku do malowanego obiektu. To, co charakteryzuje przede wszystkim impresjonizm: rozbitcie tonu, wibracja kolorystyczna, kunsztowna penetracja barw.

Niemale zainteresowanie wzbudza na drugim piętrze wystawa dokumentacji Laboratorium Badań Muzeów Francuskich. Znajdujemy tu wyniki studiów radiograficznych, prześwietleń ustalających kolejne stadia pracy nad dziełem. Są zdjęcia wykonane przy posługiwaniu się mikroskopem, penetrujące sposób nakładania farby, wreszcie — dokumentacja makrofotograficzna oraz zdjęcia detali.

Oglądanie Wystawy Centenaire de l'Impressionnisme jest nie tylko ucztą artystyczną. Przytoczone w jej katalogu opinie dziewiętnastowiecznych sprawozdawców prasowych mogą służyć za przestrożę krytykom wszelkiego autoramentu. Pozwólę sobie zacytować jedną taką wypowiedź z osłej lączki. Oto odważne słowo Alberta Wolffa z „Figara” o „Torse de femme au soleil”:

Spróbujcież wytłumaczyć p. Renoirowi, że kobiety tułów nie jest kupą gnijącego cielska, pokrytego zielonymi i fioletowymi plamami zaawansowanego w rozkładzie trupa.

Wracając do mego X^e arrondissement przejechałam się autobusem koło Placu Zgody, Opery, następnie wzdłuż nudnawej rue La Fayette. Przyjemność za 2 frs 10. W „domu” zabieram się do pasjonującej lektury... Ale o tym kiedy indziej.

Maria Bechzye-Rudnicka

RENEM (I)

Tadeusz Jasiński

mnie nieufnie, a jeden ostrzegł szepcąc także nieco podchmieleonego koleżę:

— Nie gadaj tyle, uważaj na tego mężczyznę!

Znowu poczułem się nieswojo, bo wzięto mnie najwidoczniej za szpicla. Kiedy również kupiłem sobie Wickueler Pils i wróciłem na miejsce ten bardziej pijany znowu mówił o jakichś swoich kłopotach rodzinnych i o tym, że jego kobieta wola wiaż o pieniądze, bo nie starczy na raty. Na mój widok zamilkli. Bez powodzenia próbowałem z nimi nawiązać rozmowę. Ten sam mężczyzna, co przedtem dość stanowczo wyperswadował mi:

— My tu, mój panie, mamy swoje sprawy i nie mamy dla was nic interesującego!

Głos był burkliwy i nieprzyjazny. Zapadło kłopotliwe milczenie. Wróciłem znowu na rynek. Z wystawy rzeźniczej zniknęły ceny. Może przygotowywano inne?

Noworoczny „Spiegel” bez skrepowania przyniósł ostatnio dane o potęgę gospodarczej i politycznej kraju między Łabą a Renem. Z naszych obserwacji poczynionych bezpośrednio w RFN bynajmniej nie wynika, że są to chęlniwi przechwalci. Widoczne było jednak aż nadto wyraźnie, że temu gospodarstwu znaczeniu i potęgę RFN w ramach EWG nie odpowiada proporcjonalnie stopa życiowa jej mieszkańców. Owszem, jest ona wciąż jeszcze wyższa niż np. u nas ale w porównaniu do znaczenia marki w zachodnim świecie i roli ekonomicznej RFN wśród wspólnoty dziewiątki, jest mała, w odczuciu samych obywateli znad Renu rażąco za mała. Nadmierne bowiem zyski czerpią same koncerny i fabrykanci, nie myśląc bynajmniej dzielić się z bezpośrednimi wytwórcami wartości dodatkowej, z robotnikami.

Wraz z szerszym zasięgiem radiostacji krajów socjalistycznych odbiorem audycji radiowych i telewizyjnych z NRD, wzrostem odwiedzin rodzin w tym kraju oraz turystyki na Wschód, obywatele RFN dowiadują się coraz więcej o naszych osiągnięciach socjalnych i to takich, o które często dopiero wal-

czą, bo wiedzą, że bez nich życie jest o wiele droższe. Mowa tu o systemie ubezpieczeń, bezpłatnej służbie zdrowia, oświacie, wczasach, urlopach itp. Nasze dyskusje dość często były sprowadzane właśnie do tych kwestii. Jedni z rozmówców wiedzieli o tych osiągnięciach, inni zarzucali nam komunistyczną propagandę. Słuchali jednak, coś nie coś z tego, co im mówiliśmy o naszym polskim czy energowskim życiu, przyjmowali. Choćby wtedy, gdy mowa była o społecznym lecznictwie. Tak, posiadają Kasy Chorych, tylko że jeden lekarz przypada na 50 000 ubezpieczonych — wynika to także z prasy — i najczęściej jest to medyk początkujący. Są szpitale, sanatoria, są znakomici lekarze w dużej liczbie, ale tak drodzy, tak bardzo drodzy!

A mieszkania? Pierwsze noce śpiemy u rodziny polskiego pochodzenia w hamburskiej dzielnicy Osdorf. Nasi gospodarze zajmują 2 pokoje z kuchnią bez łazienki, z ubikacją pod schodami, ale ten stary budynek posiada centralne ogrzewanie. Za to ostatnie przed kryzysem energetycznym płacili, zależnie od ostryści zimy, od 30 do 50 marek miesięcznie, a za samo mieszkanie 220 DM. Natomiast w satelickim mieście Wedel, należącym już do Landu Schleswig-Holstein, znaleźliśmy gościnnie w przyzwoitym mieszkaniu komunalnym, trzypokojowym z wszystkimi wygodami. Cena komornego wynosiła tam 420 marek. U właścicieli kamienic prywatnych kosztowałyby to więcej. Spotykaliśmy też potem mieszkania czteroi pięciopokojowe, gdzie za spory już komfort gospodarze płacili od 500 do 700 marek. Można więc zaryzykować uogólnienie że czynsze za podobne typy mieszkań wynoszą tam tyle w markach ile u nas w złotych — a jak wiemy waluty te różnią się zasadniczo w swoich kursach i wartościach. Odliczmy więc robotnikowi lub urzędnikowi niemieckiemu owe średnio 350 marek na mieszkanie i ogrzewanie, a wtedy pomyślimy, ile zostanie żonom w portmonetkach na żywność, odzież i drobne przyjemności? A przecież

zarówno obyczaj, jak i niepewność jutra nakazują jeszcze choć trochę odkładać na szarą godzinę!

W każdym mieście dostrzegaliśmy paradoksalną sytuację: setki tysięcy rodzin potrzebują mieszkań, jak to jest wszędzie w Europie, a równocześnie tysiące mieszkań czekają puste na lokatorów i to nie tylko w przysłowiowych Shaw'owskich „szczyglicz zaulkach”, ale także w eleganckich dzielnicach. Sprawia to spekulacja parcelami budowlanymi a także samymi mieszkaniami własnymi. Są one na ogół tak komfortowe i drogie, że nie ma dość chętnych, aby wynająć je bądź kupić. Np. duża część tzw. wioski olimpijskiej wciąż jeszcze czeka na nabywców. Nie dziwnego, skoro za pokój (37 m²) trzeba zapłacić 91700 DM, za 2-pokój z kuchnią (56,4 m²) 139 500 DM, za 3-pokój z kuchnią (86,6 m²) — 205 200 DM, a za 3-pokój z kuchnią (90 m²) i obszernym tarasem aż 387 900 marek zachodnich. „Zdarzają się życiowe okazje — to jest może jedyna, jaka może spotkać cię w życiu” — głosi reklama. Hmm... Ceny poza Monachium są niższe, ale nie tak znowu bardzo.

Do tych naszych pierwszych spostrzeżeń przylega dobrze stare niemieckie porzekadło, które zresztą widzieliśmy potem na budynku Kasy Oszczędności: „Geld macht nicht gluecklich, aber ist beruicht!” — pieniądze nie czynią szczęśliwym, ale uspokajają! Spostrzegaliśmy jednak nader często, że ich brak właśnie powodował niepokoje.

Zapiski w notesie z pierwszych dni nie były jeszcze systematyczne. Wszystko wydawało się ważne, każde spostrzeżenie coś wyjaśniało, dopowiadało. Trzeba się było w tym rozważnie rozpatrzeć. Jakże wiele tam błyszczy, jakże dużo przesłanek może prowadzić do błędnych wniosków. „Jeśli jednak przywołać, już tu na miejscu, krytycyzm w myśleniu, wprowadzić możliwie sumienne analizę, wcale nie wpada się w dziecięcy zachwyt!” — zapisałem sobie po trzech dobach zwiedzania, patrzenia, słuchania, dyskusowania i rozpytywania.

A więc rozglądamy się dalej.



Zbigniew Włodzimierz Fronczek

PIEKŁO MIŁOŚCI

w moim życiu nie było nic nadzwyczajnego mimo to z roku na rok kocham ja coraz bardziej

i uśmiecha się jak wtedy do młynarzowej która na skrzydłach wiatraka unosiła się nad okolicą a dziadek chcąc uchodzić za jej kochanka przypinał skrzydła nietoperza tak rozprawiali zawistni

bo wszyscy mężczyźni w okolicy podkochiwali się w młynarzowej

a nie chcieli wiedzieć że były to skrzydła miłości bo miłość uskrzydla

ona tańczyła na zabawach przyjmowała zoloty prowokowała mężczyzn nie ulegając żadnemu z nich

ale wtedy przyszedł tamten

tej nocy skrzydła młynarzowej były zmięte dziadek też nie mógł wlecieć na swoich skrzydłach a może nie chciał

świt już na dobre rozgościł się we wsi a ciągle słychać było szatańską muzykę nocy psy ujadły długo i lekliwie

młynarzową znaleziono z przestrzelonym sercem

nie widziano już jej w górze nie straszyla nawet

może wstydziła się swych wielbicieli których nie obdarzyła wdziękami

dziadek żegna się krzyżem świętym patrząc na górę gdzie stał wiatrak

kocham życie mówi dziadek nie przeszkadza mu to ukrywać karabinu za stodołą któregoś dnia odniosłem wrażenie że tej pamiętnej nocy dziadek zrobił z niego użytek

Edmund Pietryk

Jak się odbywa wyrzucanie miłości z siebie? Przecież gdy drzewo umiera nie grzebie się go w ziemi.

Bywa jak ubieranie trupa i obcinanie mu paznokci — ten dreszcz jest zbędnym wspomnieniem po eutanazji nocy przed przyjęciem gorzkiej hostii słońca.

Jest jak sprzątanie więziennej celi, jak sprzątanie wielkiego placu na którym odbył się pokaz nadmiaru wolności. Jak sprzątanie knajpy z wymiotów po zbyt gęstej nocy.

Jak sprzątanie szpitalnego łóżka po kimś kto umarł zbyt nagle, jak sprzątanie cmentarnej kaplicy, jak sprzątanie po dziecku bo zawsze przy tej okazji znajdzie się mała porcja tkliwości, jak sprzątanie teatru po spektaklu na którym ktoś zasłabł, jak sprzątanie cyrku gdy akrobata spadł z trapezu. Tak spaleniżna dymem oddziela się od czarnej kości, tak człowiek palcami piasek rozdrapując stwarza kamień w sobie — tak jak powstają miasta nierzeczywiste, jak błazen zanosi się szekspirowskim śmiechem — tak się odbywa wyrzucanie miłości z siebie...

DEBIUT

Bohdan W. Sosnowski

TRAKTAT OPTYMISTYCZNY

Zawsze przyciągnął mnie ludzie nieszczęśliwi, bezdomne koty i psy. Zaniedbanym dziewczętom z przedmieścia przyglądałem się i anatomii świata uczyłem od nich.

Kochałem słoneczniki w brudnych ogródkach i stare samochody z posiwiałą od zmartwień karoserią. Ubóstwiam burzę i deszcz.

Słońce przyjaciele mi być nie chciało i kwiaty odwracały główki, chociaż miłowałem zapyłanie.

I tak już zostało. Najmocniej dla tego świata żyję nie tym światem. Dla kretów i żab jestem aniołem stróżem z ziemi zesłanym.

A dla ludzi tyle mam twarzy, że już od dawna nie wiem, która jest prawdziwa. Wydaje mi się, że to jest właśnie optymizm.

Zródła zręcznego comiesu

MOZE jestem wyraziście krzywdzącego osądu, ale trwam przy przekonaniu, że pisarstwo dla młodzieży, jeśli nawet ma jakieś znamiona formalnych zalet literackich, nie bardzo następcza sposobność do ujęć krytycznych. Raczej już — pisarstwo dla dzieci, w którym ze względu na środki odbioru potrzebna jest pewna oryginalna naiwność, a ta ma jakiś związek z poezją. Cóż by można powiedzieć o powieści młodzieżowej? Jeśli spełnia warunek dość przecież powierzchownie pojętej, elementarnej pedagogiki, operuje realiami leżącymi na obszarze doświadczeń, albo objętymi wyobraźnią kilkunastoletniego (tego po niżej piętnastu lat) czytelnika, odznacza się wartością narracji i sprawnością stylistyczną — na co jeszcze oczekiwać ze szkieletem i okiem krytyka? Wszystko, co w literaturze istotne, pozostaje tu pozagraniczne. Może konieczna jest ze względu na potrzebę spójności działań wychowawczych ta gotowość podażi literackiej dla określonego wieku czytelników, ale chyba lepiej poczekać te dwa-trzy lata, kiedy młody człowiek będzie mógł sięgnąć po „Czerwone i czarne”, albo po „Kolumbów”.

A jednak nakłady, nakłady! Średnia „młodzieżówka” nokautuje liczbą egzemplarzy czołowe dzieła literatury pięknej, tej de facto i tej de nomine, więc chyba w całej rozciągłości zastrzeżeń utrzymać się nie da. Jeśli — oczywiście — nie stoimy na stanowisku, że obieg wartości piśmienniczej ma się odbywać w zamkniętym kręgu, którego krytyka jest segmentem końcowym. Poczytność, nawet jeśli nie jest argumentem w kwestii artystycznej, jest wyrazem społecznej propedeutyki literackiej, a ta ma swoje miejsce w systemie działań ogólnokulturowych. Ale jakie trudności czekają na autora młodzieżowej powieści: autorze, nie bądź dzieckiem, ale nie bądź dorosłym; sięgaj po pełnię problematyki ludzkiej, ale scenkami z podwórka, rowerowej wycieczki, gry w klipes; prowadź ku prawdzie, dobru i pięknu, ale przepadłeś, jeśli cię smarkacz złapie na drętwej mowie, postać i scenerie masz wprowadzić atrakcyjne, ale jak najdalej od posądzenia o „fikcję literacką”, co dla czytelnika w tym wieku oznacza buję na resorach. I tak dalej, chociaż i to wystarczy.

Z trudnościami tymi zwycięską szermierkę odbył Adolf Lekki w swojej „Przygodzie nad siedmioma źródłami”. Co w tej „Przygodzie”? Przepisowo: odniesienia do fascynujących młodą wyobraźnię perypetii partyzanckich, niebezpieczeństwo — w aurze zapotrzebowania na przygodę — oddziaływanie młodzieżowego środowiska przestępczego, współdziałanie nieskazitelnych rodziców z organami porządkowymi i wychowawcami, marzenie o awansującym i „udoroślającym” młodość wypadzie w jakieś nie bardzo wiadome, ale najautentyczniejsze nieznanie. No i sakramentalne zauroczenie postacią kapitana Klossa.

Adolf Lekki udatnie trafił w mentalność swego czytelnika, który adresowaną do siebie powieść czyta jak comics. Nad czym, oczywiście, nie należy rozdzierać szat. Należy postarać się o to, żeby comics zawierał wszelkie zalety dobrej lektury. I Lekki to uczynił.

Nie wiedzieliśmy, że ten autor ma w tym kierunku predylekcję. Wprawdzie w „Niespokojnym Zachodzie”, powieści napisanej z sensacyjnym zacięciem, widzieliśmy nachylenie ku plastycznemu traktowaniu materiału narracyjnego, jednak nie przypuszczaliśmy, że ta tendencja zrealizuje się w dialogu z młodym pokoleniem. Wygląda na to, że Lekki całkiem dobrze w tym środowisku się czuje. Co najmniej tak, jak wielu lubelskich autorów w „klubach złotego wieku”, z którymi lubelski ośrodek literacki nawiązał pozytywne i owocne kontakty.

Co na przyszłość? Nie jest to wywiad, dlatego odpowiedzią na tak odkrywcze pytanie nie można obciążyć autora, w związku z czym pobić się musi niżej podpisany. Otóż wydaje się, że Lekki ma na koncu pióra pisarstwo w gatunku, który określamy jako nowela filmowa, czy wprost scenariusz filmowy traktowany jako autonomiczny tekst literacki. W każdym razie czytelnikom — by nie czuli się ewentualnie zaskoczeni — wypada to zasignalizować. Dramatyczne, sceniczne ujmowanie tworzywa przez tego autora w całości taką tezę zdaje się usprawiedliwiać i nie potrzeba aż parapsychologii, by futurologicznie widzieć ją potwierdzoną faktem rzeczywistym. Czemu z pewnością towarzyszyć będzie poczytność nie mniejsza od popularności udanej powieści dla młodzieży.

Z rozpędu chciałbym powiedzieć kilka ciepłych słów o graficznej stronie książki. Niestety, nie można. Rysunki są bardzo zdawkowe, okładka bardzo szkiełkowa, a już ręczny, nie zaś drukowany napis na grzbiecie gdzie się wymienia autora i tytuł dzieła — to praktyka nie spotykana nawet przy największej nonszalancji graficznej.

Zygmunt Mikulski

Adolf Lekki: „Przygoda nad siedmioma źródłami”
Wyd. 1 ub. 1974, str. 343, cena 30 zł.

Artykuł stanowi pewne uzupełnienie wypowiedzi doc. dr hab. Zdzisława Hlezuka na temat problematyki egzobiologicznej w badaniach Marsa, których autor udzielił niedawno w audycji telewizyjnej zatytułowanej: „Czy państwo wierzą w Marsjan?” Zostanie ona nadana przez Redakcję Oświatową w programie I TV w ramach cyklu: „Fakty, opinie, hipotezy” pod koniec stycznia lub na początku lutego.

PROBLEM życia na Marsie od dawna fascynował umysły zarówno myślicieli jak i szerokiego rzesz ogółu, przy czym niemal od stu lat, to jest od chwili pierwszych obserwacji poczynionych przez Schiaparelliego w roku 1877, a dotyczących rzekomego występowania na tej planecie kanałów, ugrumowany został pogląd o istnieniu tam życia pod postacią istot inteligentnych. Od tamtych czasów pojęcie Marsjan stało się w języku potocznym niejako synonimem pozaziemskiej cywilizacji, a nawiązanie z nią kontaktu wydawało się jedynie kwestią czasu. Zresztą na łamach prasy żadnej sensacji, zwłaszcza amerykańskiej, wielokrotnie pojawiały się informacje o spotkaniach ludzi (obdarzonych niewątpliwie dużą dozą wyobraźni) z Marsjanami, przybywającymi na Ziemię w różnych misjach specjalnych lub nawet w celach zgoła turystycznych.

Niestety, nasza aktualna znajomość warunków panujących na Marsie, którą zawiązujemy intensywnie prowadzonym w latach ostatnich badaniom sondażowym przy pomocy próbników amerykańskich typu „Mariner”, a zwłaszcza radzieckich sond serii „Mars” — wyklucza wszelką myśl o możliwości występowania na Czerwonej Planecie nie tylko istot rozumnych, ale w ogóle życia w bardziej rozwiniętej ewolucyjnie formie, to jest pod postacią zwierząt lub roślin. Podstawę do takiego

zasadniczy powód, dla którego uznano za najbardziej racjonalne poszukiwanie życia na obcych planetach w pierwszym etapie pod postacią samych tylko mikroorganizmów. Odpowiedź negatywna uzyskana w takich badaniach rozstrzyga bowiem definitywnie problem na rzecz braku życia w ogóle, natomiast pozytywna nie przesądza, rzecz jasna, możliwości występowania tam również bardziej filogenetycznie rozwiniętych form biologicznych.

Wracając do kwestii życia na Marsie należy podkreślić, że mamy w tym przypadku do czynienia z sytuacją, w której, ze względu na istniejące na tej planecie niezwykle drastyczne z biologicznego punktu widzenia warunki środowiskowe, można jeszcze co najwyżej oczekiwać występowania tam marsjańskich mikroorganizmów. Teoretycznie ewentualności takiej nie da się wykluczyć. Wielokrotnie już bowiem wykazywano, że różnego rodzaju ziemskie drobnoustroje, poddawane działaniu warunków środowiska marsjańskiego, sztucznie wytworzonego w laboratorjach, były w stanie nie tylko z dobrym skutkiem przetrwać te eksperymenty, ale wiele z nich zachowało także zdolność do normalnego rozwoju i namnażania w tej bądź co bądź dość niecodziennej dla siebie sytuacji.

Oczywiście z wyników tych doświadczeń nie da się wyciągnąć żadnych wniosków na temat faktycznego istnienia rodzimej mikroflory na Marsie. Ich cel zresztą był inny i miał wykazać istnienie realnego niebezpieczeństwa zakażenia Kosmosu ziemskimi drobnoustrojami przy okazji badań prowadzonych z użyciem statków międzyplanetarnych. Nawiasem mówiąc, praktyczną konsekwencją poczynionych ustaleń było wprowadzenie rygorystycznie przestrzeganego wymogu sterylizacji wszelkich pojazdów kosmicznych w celu skutecznego przeciwdziałania się ewentualnej ekspansji ziemskich mikroorganizmów we Wszechświecie. Co się zaś tyczy ostatecznego dowodu na rzecz istnienia lub braku marsjańskiej mikroflory, to mogą go dostar-

PERSPEKTYWY ŻYCIA NA MARSIE

Zdzisław Hlezuk

sądu daje niezwykle — w porównaniu z ziemskimi — drastyczność warunków środowiska marsjańskiego. Charakteryzują się one ogromną rozpiętością dobowych wahań temperatury (od + 13°C w dzień do ponad - 90°C w nocy), niewielką gęstością atmosfery (200 razy rzadsza od ziemskiej), która składa się w dodatku głównie z dwutlenku węgla, a nade wszystko znikomą wilgotnością.

Czy jednak oznacza to, że możemy już dziś na tej podstawie uznać problem życia na Marsie za jednoznacznie rozstrzygnięty na „nie”? Byłby to mimo wszystko wniosek nieco przedwczesny. Pozostaje bowiem nadal otwarty problem ewentualnego występowania na Marsie drobnoustrojów zbliżonych lub może identycznych z tymi, jakie są wszechobecne na Ziemi. Przyznaję, że ta sprawa ze względu na profesjonalnych (jako mikrobiologa) interesuje mnie najbardziej. Chciałbym jednak równocześnie mocno podkreślić, że między egzobiologią (czyli nauką, która między innymi stawia sobie za cel poszukiwanie życia pozaziemskiego) a mikrobiologią istnieją obecnie nader ściśle więzi.

Zarówno w radzieckich jak i amerykańskich ośrodkach badań egzobiologicznych panuje pełna zgodność poglądów co do tego, że praktyczne poszukiwanie życia w Kosmosie muszą być organizowane w taki sposób, aby pozwalały konstatować na planetach obecność lub brak życia pod postacią mikroorganizmów. Wynika to z dwu podstawowych powodów. Po pierwsze — nie jest teoretycznie do pomyślenia istnienie gdziekolwiek takiego układu stosunków ekologicznych, w którym występowałyby same tylko wysoko rozwinięte ewolucyjnie makroorganizmy bez równoczesnej obecności mikroorganizmów. Są one bowiem bezwzględnie konieczne do podtrzymania ogólnej przemiany materii w naturze i pełniąc tam funkcje ogniwa redukcyjnego, zapewniają możliwość podtrzymania życia w sposób ciągły poprzez rozkład szczątków organizmów obumierających. Dzięki temu produkty mineralizacji stają się substratem wyjściowym do syntezy związków organicznych, niezbędnych dla odradzającego się życia nowych pokoleń. Wynika stąd, że rośliny wyższe i zwierzęta nie są w stanie obejść się na dłuższą metę bez mikroorganizmów.

W przeciwieństwie jednak do tego drobnoustroje mogą egzystować zupełnie samodzielnie i nie są w jakimś najogólniejszym sensie w żaden istotny sposób uzależnione od organizmów wyższych. W każdym razie teoretycznie jest zupełnie prawdopodobne istnienie takiego modelu ekologicznego, w którym — ze względu na przykład na trudne dla rozwoju biologicznego warunki środowiskowe — występowałyby same tylko drobnoustroje. Jest to dru-

czyć wyłącznie bezpośrednio badania, przeprowadzone na próbkach gleby tej planety.

Warto odnotować, że jesteśmy obecnie stosunkowo blisko uzyskania rozstrzygającej odpowiedzi w tej wielce intrygującej kwestii. Ciekawość nasza zostanie w tym względzie zaspokojona prawdopodobnie już w połowie przyszłego roku, to jest po ogłoszeniu wyników pierwszych badań egzobiologicznych gruntu Marsa, których dokonają amerykańskie automaty w ramach programu „Viking”. Dwie tego typu stacje, po łagodnym wylądowaniu w dwu różnych obszarach Marsa, dokonają analiz mikrobiologicznych jego gleby. Czytelników, których interesuje techniczna strona działania automatycznych laboratoriów przeznaczonych do realizacji badań egzobiologicznych, odsyłam do moich artykułów w „Problemach”. („Na tropie życia w Kosmosie” Nr 4/73 i „Biologiczne badania Marsa w programie Viking” Nr 12/73).

W tym miejscu należałoby jedynie podkreślić, że w celu uzyskania możliwie niezawodnych wyników wymaga się, aby automatyczne stacje badawcze wykonywały równocześnie kilka równoległych testów, identyfikujących życie drobnoustrojów w glebie marsjańskiej, jeśli one tam występują, od strony różnych jego przejawów. Daje to zresztą jeszcze dodatkowo pewne szanse wnioskowania o obecności w badanym materiale ewentualnych form biologicznych nieco znacznie lepiej odbiegających od naszego/ziemskiego modelu. Chodzi tu zwłaszcza o formy, które reprezentowałyby na przykład mniej rozwinięte ewolucyjnie postaci życia w porównaniu z drobnoustrojami ziemskimi, czyli o jakieś formy hipotetyczne, określane ogólnie mianem protobiontów. Mogą one stanowić ogniwo pośrednie między materią nieożywioną a uformowanymi już, najprostszymi jednostkami biologicznymi o strukturze komórkowej. Wykazanie istnienia takich pierwotnych postaci życia miało by dla nauki większe jeszcze znaczenie, niż odkrycie mikroorganizmów identycznych lub zbliżonych swoim charakterem do ich odpowiedników ziemskich i rzuciłoby zapewne nowe światło na mechanizmy procesów ewolucji biologicznej, a zwłaszcza na problematykę powstania życia.

Najbliższa przyszłość wykaże ostatecznie, czy i na ile mit o samoistnym życiu na Marsie znajdzie swoje naukowe potwierdzenie. Pozostaje nam zatem uzbroidź się w nieco cierpliwości i oczywiście życzyć sobie, aby w realizacji badań pierwszej marsjańskiej ekspedycji egzobiologicznej, wyruszającej w kosmiczną podróż w sierpniu i wrześniu tego roku, nie wystąpiły nieprzewidziane zaburzenia, o które tak nietrudno na powierzchni kapryśnej Czerwonej Planety.

PIEC

Henryk Pająk

JEST szósta wieczór, gdy na podwórzu rozlega się dudnienie końskich kopyt. Kobieta z niedowierzaniem unosi głowę. Spogląda na męża.

— Jednak przywieźli!
— Rychło w czas! — burczy stary znad talerza. Wstaje, podchodzi do okna. W zapadającym zmierzchu przybliża twarz do wiekowej omegi wiszącej na framudze. Mówi z nagłą pasją:
— Zebyś mi nigdy więcej nie dawała kwitów tym oprychom! Słyszysz?
Żona potakuje bez słowa, wstaje od stołu.

— Pomyśl, Lucyno: dwa miesiące czekania!
— Przestań! — Słyszałam to sto razy. Co roku dajesz im kwity, a potem się pieklisz, że nie przywożą. Lepiej popiesz się i pokaż, gdzie mają znieść.
— Znieść? — Stary żywo odwraca się od okna. — Znieść? No tak, znieść. Dla ciebie to proste kazać znieść, do komórki, zapłacić. Półtora tysiąca węgla, trzysta przywózka, a teraz zachciewa ci się znoszenia. Czy ty pomyślałaś o zimie?

Kobieta spokojnie zbiera talerze. Nie doczekawszy się odpowiedzi, stary zdejmuję z wieszaka serdak. Serdak jest krótki, lekki, podszyty skórkami królików. Garbiąc się i kuląc, przywdziewa go niezdarnie.

— Tamtej jesieni utargowaliśmy na osiem — przypomina mu.

Przerywa jej gestem dłoni.
— Tamtej jesieni byłem młodszy o rok. I ty o rok. Razem o dwa. A to się liczy w naszym wieku, zdaje mi się. I o mój skrzep w nodze. O twoje nerki...

— Przestań! Idźże wreszcie...
Bez słowa wraca do kuchni. Podchodzi do szafy. Stojąc na palcach szuka na jej wierzchu latarki. Stary zbliża się do kredensu. Poświęcając sobie latarkę odnajduje starodawną cukiernicę ze srebrnym wieczkiem. Dobywa stamtąd zwitek banknotów. Liczy, coś kalkulując w pamięci, znów liczy. Odliczone pieniądze chowa głęboko w kieszeń spodni. Na odchodnym mruczy pojednawczo.

— Przyjdź tam. Razem stawimy się tym drabom.

Dwóch ludzi o twarzach przyprószonej zmierzchem siedzi na szczycie platformy pełnej czarnych brył. Przed nimi dwa perszerony, w obłoku gryzącego potu, nieruchome jak dwie bryły z brązu. Cały zaprzęg wypełnia sobą połowę podwórka. W miasteczku słynie ono, razem z tym domostwem i jego właścicielami, ze schludności, rygoru tak zadawnionego, iż nawet najblabsze przedmioty zdają się same wracać na swoje miejsce. Dzieje się to za sprawą nieprzerwanej zapobiegliwości obojga starszków. Na starość życie malomiasteczkowego emeryta staje się bezkresem. Drobne przedmioty i jeszcze drobniejsze sprawy wprężone w rytuał poranków i zmierzchów, posiłków i zmiennych dolegliwości napawają dumą i czymś, co trzeba by nazwać nadzieją. Drewniana, komórka na węgiel i wszelkie rupiecie, które jeszcze mogą się przydać, ocieplona zagatą przybudówką tylnej ściany domu, pełniącą rolę warsztatu stolarskiego, wreszcie sam domek oddzielony od ulicy parkanem z grubej tarcicy stanowią ostatni szaniec człowieka, który większość życia spędził w posłuszeństwie, wolny od konieczności podejmowania decyzji, lecz teraz, u siebie, ani myśli kapitulować.

Stary urzędnik schodzi ze stopni ganku. Zbliża się do wozu. Niedbale odpowiada na powitanie i wsuwa kciuki w kieszonki serdaka. Krytycznym okiem spogląda na węgiel. Mówi z przekasem:

— Tyle razy przypominałem o gryziku, a przywożicie glazy, jak po tąpnięciu w kopalni.

Wozacy nie wiedzą, co to znaczy tąpnięcie, ale jak stary rzęda jest panem podwórka, tak ci dwaj czują się panami platformy i perszeronów, stanowiąc z nimi przedsiębiorstwo o niezawisłej egzystencji. W Nałęczowie każdy czuje się panem czegoś, choćby tym czymś miała być para połamanych krzesel czy koława sekretera.

Z wysoka patrzą na pana Antoniego. Ustami młodszego odpowiadają arogancko:

— Jak się nie widzi, to bez lachy. Wzmacnia inni!

Pan Antoni jeszcze mocniej prostuje swoją sylwetkę. Unosi się na palcach i opada. Z tymi kciukami w kieszonkach serdaka.

— Grzeczności, to u was nie za dużo. panie Sulek. Grysik czy bryły, wie-

cie doskonale, że wziąć muszę, bo zwdzieliście mnie do tej pory. Chcę wam powiedzieć, że ostatni raz udało się wam mnie nabrać. Nie dosyć, że przywożicie barachło, to jeszcze się stawiacie!

Starszy gramoli się z platformy. Z łokciem zrywa blaszaną beczkę po smole, w której znoszą węgiel. Jest po paru piwkach. Nie chce kłótni.

— Nikt się tu nie stawia. To pan Antoni poważnie odstawia jakieś numery. A to grysik, a to kostkę, a to za dużo kamienia. Pan Antoni nasz stały klient, niech już będzie nasza krzywda... Byśmy przywieźli ten cholerny grysik, ale skąd wziąć? Nie ma i nie ma. No to łapiem co leci. Kwitów mamy całe kieszenie, a tu zima leci.

Brat nie lubi takiej gadaniny. Dorzuca z wysoka:

— Gdzie sypać? Ze znoszeniem czy bez? Szkoda czasu na gadanie!

Pan Antoni chrząka porozumiewawczo. Za plecami czuje milczącą obecność żony. Gdyby nie ona, bez targów kazałby zwałać i jazda stąd! Zamiast tego pyta od niechcenia:

— Ile byście chcieli?
— Po dwanaście zetów — mówi młodsi.

— Pytam poważnie...
— My też poważnie. Jak Boga kocham! Po dwanaście i ani złociszka mniej!

W tym momencie rozlega się głos z ganku:

— W zeszłym roku braliście po osiem. Cóż to za robota — blisko, ani jednego schodka...

— Dobry wieczór pani, owszem, w zeszłym. Dziesięć lat temu zносиło się za piątką i każdy był zadowolony. Ale wie pani, piątek wtedy a teraz...

— Panie Sulek — głos z ganku nie ustępuje — o cztery złote więcej niż rok temu? Ładnie to tak zdzierać z dziadków?

— Damy po dziesięć — ustępuje emeryt.

— Nie da rady, panie Antoni. Dwanaście, albo spuszcza boki!

Chwila ciszy przerywanej chrzęstem uprząży. Z mroku dobywa się głos starego człowieka. Tli się w nim ogień wściekłości. Latarka gaśnie, aby za chwilę oświetlić miejsce przed drzwiami komórki.

— Tu sypać! — rozkazuje. Jego głos brzmi naturalnie, lecz wysiłek, który w to wkłada, kosztuje wiele.

W świetle latarki omiatającym postać na ganku pada kolejne polecenie:

— Lucyno! Wracaj do mieszkania. Przebierz się. Dziś jeszcze musimy znieść to barachło!

Pani Lucyna posłusznie drepce do izby. Sprawa jest przesądzona. Bywają sytuacja, kiedy sprzeciwi staje się bezcelowy.

Stary budzi się przed szóstą. Jest cały obolały, czuje osobno wszystkie kości. Węgiel już w komóreczce, lecz dzień nie zapowiada się lekko. Trzeba obrócić z gliną ze trzy razy. Oby tylko sił starczyło.

Żona śpi jeszcze. Ukradkiem sięga po papierosa. Po pierwszym haucie nieuchronnie chwyci go kaszel. Pomimo starań, kaszel rozlegnie się po izbie z hukiem wystrzału. Na w pół przebudzona skarci go za palenie przed jedzeniem. Tak jest od czterdziestu lat i tak będzie zawsze.

Dusząc się i krztusząc siada na brzegu łóżka. Stopami odnajduje ciapy. Przez wyięblą przestrzęć kuchni przechodzi do ganku. Ucho nocnika jest lodowate, powietrze jest lodowate, świat zlodowaciał w ciągu jednej nocy.

Odstawia nocnik. Złab przenika w głab ciała. Staruszek śpiesznie zwraca do środka. W izbie zastanawia się, czy by nie włożyć cieplejszych kałesonów, grubszego podkoszulka. Ale kto odgadnie, jak się ubrać?

Dom jest pożydowski. Śmierć przeszła przez wszystkie jego kąty i straszła pustymi oczodołami: takim go za-

siedlili w ostatnim roku wojny, podreperowali i mieszkają. Czas jednak robi swoje. Najgorszy ten piec. Kafle potrzaskane, drzwiczki odpadają, ruszta przepalone. Każdej jesieni syn opukuje piec, przygląda się szczelinom między kafłami i z troską oznajmia: tatusiu, tak dalej stać nie może. Kiedyś zacządziejecie! Jak tylko znajdę jakiś wolny dzień, wpadnę, to go poprawimy.

Ale stary przywykł już liczyć tylko na własne siły, sam też od miesiący sposobił się do tego zadania. Kafle, drzwiczki, ruszta już przygotowane. Druć tylko pociąć na odpowiednie kawałki. Cegłę ogniotrwałą oblecano mu na prywatnej budowie. Warto by pochromować osłony drzwiczek. Trzysta złotych więcej. Czy koszty tego pieca nigdy się nie skończą?

Trzy buraki pastewne zaprzętną uwagę królików na długie godziny. Czas



Rys. E. Ingłof

wypuścić kury. Z nimi najmniejszy kłopot — kilka garści ziarna i spokój na cały dzień.

Tymczasem żona budzi się i bez zwłoki przystępuje do przygotowań. Wczorajsza robota z pewnością pozostawiała na niej ślady, lecz ta kobieta nie skarży się nigdy. Kiedy pojękuje z powodu swoich kamieni, jest to z pewnością ból naprawdę przekraczający siły. Napelnia termos, kroci chleb, przekłada kromki plasterkami szynkowej. Dla siebie zabiera chudy ser. W trakcie tych przygotowań przypomina sobie, że dziś sobota, a tu ani kawałka mięsa. Nie od rzeczy byłoby ustawić się w kolejce, skoro tak wcześniej wstali. Ale dziś nie czas na to.

Wychodzą. Chłód poranka ploszy resztki snu, orzeźwia. W stronę Kazimierza ciągną pierwsze samochody. Słychać je niezbyt wyraźnie, mgła tłumia hałas. Dzień wstaje szary, zgęstniały we mgłę. Sciele się ona tuż nad ziemią, zwiastując pogodny dzień.

Wózek czeka w kącie przybudówki. Solidny, obstalunkowy wózek z dyszlem, szelkami, z dowolnie regulowaną wysokością bocznych nakładek. Wyrzyna każdy ciężar, byle sił starczyło.

W drodze do wyrobiska trzeba przeciągnąć wzdłuż całego miasteczka. Posuwając się w tyle zaprzęgu, kobieta zauważa:

— Ciekawe, co ludzie powiedzą widząc nas z tym wózkiem. Wyglądamy raczej żałośnie. Jak ryksiarze. Albo jak ci więźniowie z Oświęcimia, czy skąd, zaprzęgnięci do walcu. Widziałeś takie zdjęcie?

— Widziałem — mruczy pan Antoni. — Nie opowiadaj głupot — proponuje pogodnie. Rozgrzał się: mroźny poranek, pusty Nałęczów i rześkie powietrze, to coś właśnie dla niego. Nie ma to jak wstać przed innymi, odwalić najważniejszą robotę, zjeść śniadanie, przespacerować godzinę, pójść spać z kurami i znów wstać o świtaniu. Każda godzina przespana przed północą znaczy tyle, co dwie po północy.

Naraz przypomina sobie, że zegarek został w domu. Na taką wyprawę nie wyrusza się bez czasomierza. Złocił się krótko, bez oznak. Jak zawsze, kiedy sam zawinił.

— Zebyś ty się widział z boku — upiera się kobieta — to byś mi przyznał rację. Myślę, że na stare lata trzeba po prostu zachować odrobinę godności, mój stary. Przychodzi czas, że pewne rzeczy zaczynają człowiekowi nie pasować.

— Ty mi tu nie wyjeżdżaj z godnością — ucina stary. — Już zaczynasz?

Przyspiesza kroku. Chce samym tempem marszu odebrać jej ochotę do gadania. Nie przychodzi mu to łatwo. Ciągnie wózek, żona niesie tylko torbę.

Nie oglądając się, dorzuca cierpko: — Uważasz, że tamci, na zdjęciu, utracili ją z tej racji, że dali się zaprzęcić bydłom?

— Wcale nie. Mój Boże, jest pewna różnica między tym wszystkim! Ale pomyśl — ty, były urzędnik magistratu. Czy znajdziesz w tym mieście dorosłego człowieka, który by o tobie nie słyszał? A teraz idziesz zaprzęgnięty do parcianych szelek z tym dyszlem obijającym ci boki. Z powodu dwustu złotych. I każdy, kto tylko nas spotka, wie, że tylko z powodu dwustu złotych, których szkoda na furmana!

Wózek zatrzymuje się raptownie, bez uprzedzenia. Drepcząca z tyłu kobieta uderza kolanem o zakładkę.

Stary emeryt odzywa się cicho, patrząc przed siebie, jakby w oddali dostrzegł coś bardzo ciekawego.

— Lucynko. Czy idzie ci o to, żeby wrócić do chałupy?

— Co ci znowu strzeliło do głowy?

— Zrozum, nie można zaczynać dnia w ten sposób. Takiego dnia!

— Nie złość się. Ledwo dyszysz. Chciałam tylko powiedzieć, że za pieniądze zaoszczędzone na znoszeniu, można było...

— Na węglu zaoszczędziłaś dwieście, a ilu nie przywożą nawet za pięćset. Wstydzisz się? Dobrze. Wracaj! Tyle mi tam pomożesz, co pies napłakał!

To powiedziawszy rusza energicznie do przodu. Do szczytu pierwszej góry docierają w gniewnym milczeniu. Żona uparcie trzyma się z tyłu, nadasana, pewna swych racji.

Na wzgórze znów przystaje. Naraz ogarnia go straszliwe zniechęcenie. Szelki wózka, dyszel, szybka wspinaczka, gniew, nakładają się na jego barki przynajmniej ciężarem. Do tego jeszcze wyrzuty kobiety, której przez dziesiątki lat, tak, przyznaje to w skrytości — nie udało mu się zapewnić umiarkowanego dostatku, tego wszystkiego do czego mozolnie zmierzali przez całe życie.

Tego za wiele na dzień dzisiejszy. Bez pośpiechu uwalnia plecy z szelek. Rozgląda się, gdzie by tu usiąść.

— Zmęczyłeś się? Odpocznij sobie. Daj, może ja teraz pociągnę...

Zadnej odpowiedzi. Staruszek nie słyszy. Patrzy w dół. Podnosi wzrok na przeciwległe wzgórze, na ociekające mgłą zabudowania wsi i dalej, po szczyt lasku uwieńczonego grzybem ujęcia wody. Krajobraz znajomy aż do bólu. Dzieciństwo i starość, dwa wzgórze, środkiem wawóz, w który za chwilę mają się zagłębić.

Kaszle. Kaszel narasta, wznosi się i opada, rwie płuca, odbiera oddech, dusi. Stary człowiek zatacza się. Puszcza dyszel i odruchowo siada na przodku wózka. Chce coś powiedzieć. W przerwie między jednym a drugim atakiem wyrzuca z siebie urywane słowa.

— Przez całe... przez całe... ty się Lucynko... khe-khe... tylko... khe-khe-khe męczysz... się ze mną... Męczysz... zawsze khe — khe — khe... brakowało ci...

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 11

odwagi, khe-khe, żeby się przyznać, powiedz mi...

Kobieta z rosnącym przerażeniem wpatruje się w twarz siedzącego. Dawno już nie przechodził tak gwałtownego ataku. Zbliżyła się do męża. Zdejmuje torbę z ramienia. Dobywa termos. Próbuje go otworzyć, lecz ręce się trzęsą, a korek siedzi mocno.

— Przestań! Nic nie mów! Słyszysz? Krzyk rozplywa się w ciszy poranka w pustce tego mlejsca górującego nad całą okolicą. — Przestań! — powtarza już łagodniej. W tonie jej głosu z latwością odnajduje pradawną nutkę tkliwości. Pośród wybuchów kaszlu czeka na chwilę, w której będzie mógł powiedzieć coś na swoje usprawiedliwienie. Wyjaśnić, dlaczego zgotował jej starość, u końca której znalazła się wyprawa po glinę. A także powiedzieć coś nieskończenie ważniejszego. To mianowicie, że przez czterdzieści lat dawał jej z siebie o wiele mniej niż go było na to stać. Świadomość tego osobli-

go skąpstwa prześladowała go zawsze, a jednak nie podjął żadnej próby, aby zderzyć z siebie tę nieznośną skorupę egoizmu, oschłości, rezerwy. Teraz niczego już nie zdoła naprawić. Na wszystko już za późno! Ale niech się przynajmniej dowie, iż cierpiał z tego powodu. Niech wie, że źródła dramatu trzeba szukać gdzieś głębiej, w charakterze, w dzieciństwie, gdzieś poza nim samym.

Kaszel nacicha. Znużenie jednak zostaje. Podkoszulek jest mokry od potu.

Tam, gdzie przez chwilę nie styka się z ciałem, natychmiast staje się lodowaty w dotyku.

Znużenie przechodzi w refleksję: „Po cóż, stary durniu, opowiadasz jakieś głupoty tej Bogu ducha winnej kobiecie? Co zamierzasz zyskać? Po co do tego wracać, skoro było im z tym dobrze? Albo zdawało się, że jest im dobrze?”

Kątem oka dostrzega, że żona nadal szamocze się z korkiem. Kładzie jej rękę na ramieniu. Próbuje wstać.

— Musimy iść — mówi bez przekonania.

— Zaczekaj, tykniesz herbaty.

— Nie, musimy iść — upiera się.

— Zdażymy przecież! Chwilę odsapnij!

— Nie, idziemy — oświadcza tym samym tonem, co przy węglu. Wstaje. Zarzuca szelki na ramię. Ruszają. Potykając się na śliskich grudach ostrożnie schodzą w dół. Jeszcze tylko jeden pagórek. Myślimi są już w drodze powrotnej, z obciążonym wózkiem i z przestraszonymi myślami o tym, że czekają ich dzisiaj dwa lub trzy nawroty, a tymczasem ciągle znajdują się na początku pierwszego.

Nie mówią o tym. Słowa wypowiedziane w ataku kaszlu, w przystępie słabości porwał wiatr, rozniósł je po wzgórzach. Więc jakby ich wcale nie było. Przyspieszają kroku. Droga wiedzie w dół. Coraz łagodniej, lecz ciągle w dół.

Henryk Pajak

ZE WSPOMNIENI

Pierwsza zabawa Zamojszczyków z IV b

Sławomir Litwiński



Zimowe kwiaty

Fot. Z. M. Kramara

W ROKU szkolnym 1938/39 byłem uczniem klasy IV b Gimnazjum im. Jana Zamojskiego w Lublinie.

Z uczęszczaniem do tej klasy wiązały się już pewne przywileje, jak np. nauka jazdy na samochodzie marki „Steyr”, który był własnością szkoły, możliwość nauki pilotażu szybowcowego, Przystosowanie Wojskowe, no i dla nas, uczniów męskiego gimnazjum, przywilej bardzo miły, mianowicie zezwolenie na urządzenie zabawy szkolnej w karnawale z klasą IV gimnazjum żeńskiego im. Unii Lubelskiej. Nasz wychowawca, Mieczysław Stagrowski, pewnego grudniowego dnia 1938 r. oznajmił, że „Uniki” zapraszają nas do siebie w drugą sobotę stycznia 1939 r. Przyjęliśmy tę wiadomość z entuzjazmem i rozpoczęliśmy odpowiednio przygotowania.

Problemem nr 1 była nauka tańca. Szczęśliwcy, którzy mieli starsze siostry, m. in. ja, nie mieli z tym większego kłopotu, ale pozostali wyblagali u prof. Stagrowskiego zorganizowanie kilku lekcji, które poprowadziła nasza przemila nauczycielka języka francuskiego, St. Kozikówna.

Przygotowania były już na tydzień naprzód zapięte na ostatni guzik, już liczyliśmy godziny dzielące nas od tego sobotniego wieczoru, już z naszym wychowawcą omówiliśmy wszystkie zasady „bon ton” i godnego reprezentowania naszej szkoły, gdy nagle przyszła wiadomość o śmierci papieża Piusa XI i ogłoszeniu przez władze miesięcznej żałoby w całym kraju. Zdrętwieliśmy z przerażenia, że nam umknie tak wyczekiwana pierwsza szkolna zabawa, gdy Włodek Zwolski trzymając kalendarzyk w ręce krzyknął: „Panie profeszore jesteśmy uratowani, żałoba się kończy w czwartek przed ostatnią sobotą karnawału”. Prof. Stagrowski sprawdził i zdecydował: „W takim razie zgodnie z dyrekcją Unii przełożenie zabawy na ten termin”.

Nie mogliśmy doczekać się, kiedy wreszcie ten miesiąc upłynie, ale jednak upłynął i zebrał się w naszej klasie na godzinę przed rozpoczęciem zabawy, gdzie Madame i prof. Stargowski dokonali lustracji naszych granatowych mundurków, szyi, uszu, paznokci, butów i wreszcie — po małych jeszcze dodatkowych zabiegach — całą klasę pod dowództwem naszej pary nauczycielskiej pomaszzerowaliśmy z ulicy Ogrodowej do gimnazjum Unii Lubelskiej, mieszczącego się przy ul. Narutowicza obok kościoła Wizytek.

Był luty 1939 r. i mroz sięgał 15 stopni C. Z zacierzonymi nosami i uszami weszliśmy do gmachu, gdzie powitała nas w hali delegacja klasy. Po rozebraniu się w szatni na dole, weszliśmy gęsiego do sali. Stały tu szpalerem z dyrektorką Janiną Mally i wychowawczynią, na czele, nasze koleżanki, ubrane w białe bluzeczki i granatowe plisowane spódnice. Każdy przedstawiał się, głośno wymawiając swe nazwisko i całował z szacunkiem dystyngowane starsze panie w rękę, a następnie witał się z każdą dziewczynką. Rozsypa-

liśmy się wreszcie po sali i nieco onieśmieleni stanęliśmy jeszcze w grupkach głośno zachwycając się jej udekorowaniem. Z wieloma koleżankami się jej udekorowaniem. Z wieloma koleżankami znaleźliśmy się z harcerstwem i gdy orkiestra zaczęła zabawę pięknym tangiem „Wioletta” pierwsze łodyżki zostały przełamane. Ja po cichu wzdychałem do pięknej Marysi Smorawińskiej i kilkakrotnie po lekcjach odprowadzałem ją do domu niosąc jej teczkę z książkami. Wydawało mi się, że Marysia mnie troszkę lubi, z miejsca więc poprosiłem ją w tany i przetańczyłem dość poprawnie tango, a następnie walca angielskiego. Potem był walczyk, koszyczek i „panie z lewej rączki” i Marysię mi parwano. Zabawa zaczęła się o godz. 17 a o 19 orkiestra miała 20 minut przerwy.

Andrzej Szwacki, chłopiec o nienagannych manierach, zaproponował, abyśmy w przerwie kupili kwiaty dla dziewcząt. Podchwyciliśmy dobrą myśl i wysuplaliśmy ze swych kieszeni ile kto miał, ten 50 gr, ten 30 gr, inny zamożniejszy złotówkę i w kilku popędziliśmy przez ul. Szpitalną (obecnie Pstrowskiego) i Kollataja na Krakowskie Przedmieście 60, gdzie mieściła się kwiatownia Dudzikowej. Wzięliśmy tyle kwiatów, ile było dziewcząt. Dla siebie kupiłem maleńką gałązkę mimozy, która kosztowała aż 1,20 zł i schowałem ją do kieszeni. Zabraliśmy pozostałe bukietki i za chwilę byliśmy z powrotem.

Oto ma nastąpić taniec kotylionowy. My będziemy prosić do tańca przez dziewczęta. A więc „Białe wale”. Dziewczęta wybierają chłopców. Zaraz dowiemy się prawdy. Wpatrzony jestem w Marysię i widzę, że i ona spogląda w moją stronę. Czuję, jak gałązka mimozy, którą trzymam w wewnętrznej kieszeni mego mundurka, porusza się w rytmie przyspieszonego bicia serca. My stoimy z jednej strony sali, a one siedzą na krzeselkach pod przeciwległą ścianą. Na znak dany przez swą wychowawczynię dziewczęta z kotylionami w rękach podrywają się i idą w naszym kierunku. Patrzę tylko na Marysię. Widzę, że zmierzają w moją stronę. Robię krok naprzód. Marysia mija mnie, jak powietrze, podchodzi do stojącego obok Andrzeja Szwackiego i bez słowa przypina mu pięknego motyla...

Ale oto i do mnie zbliża się małe dziewczętko z okrągłą różową buzią, w dużych okularach, z kręconymi ciemnymi włoskami i również nic nie mówiąc przypina mi pięknego olbrzymiego pajaka wykonanego przez siebie z kolorowych paciorków, z którego zwieszają się jedwabiste wstążeczki tacy. W tańcu rozszypują się i przypominają pajęczynę migoczącą w promieniach słońca barwami tęczy. Zosia cudownie lekko tańczy i wiruje przez salę w rytmie melodii walca „Francois”.

Rozmawiamy o szkole, harcerstwie, o planowanym wyjeździe na obóz, o „Panu Tadeuszu” i jest bardzo sympatycznie. Walc się kończy, dyrektorka zaprasza wszystkich na kolację. Każdy z nas prowadzi swoją partnerkę. Dyskretnie przypatrujemy się kotylionom. Są naprawdę pięknie wykonane. Własnoręczna robota dziewcząt. Nagle zauważam, że dziewczęta mają w rękach kwiatki. Przypominam sobie o mojej gałązce mimozy. Wyciągam ją z kieszeni, splaszczoną trochę w czasie tańca, ale przecudnie pachnącą i wręczam ją Zosi. Wpina ją

we włosy, gdzie żółtość mimozy doskonale kontrastuje z kasztanowatym odcieniem jej loków. Schodzimy do podziemi: na stolach czekają na nas półmiski mistrzynie wykonane przez dziewczęta kanapek, torty, winogrona, pomarańcze. Jest wesoło, żartujemy, opowiadamy o naszej szkole, zjadamy się smakolymi. Obok Zosi z drugiej strony siedzi Mietek Szyszczkowski. Z lewej — Janeczka Jasińska, Rysio Schreiter, dalej Włodek Zwolski, Bohdan Holeszowski, Jasio Sadkowski, Henio Maruszczak, Wojtek Amon. Mietkowi usta się nie zamykają. Zazdroszczę mu swobody, z jaką prowadzi rozmowę z dziewczętami, jak umie je zabawić, a ma wyjątkowy talent do opowiadania w formie rozweselającej. W pewnej chwili mówi do mnie: — Sławciu, pokaż nam swe minki. Zaczęliśmy się i nie chcę, bo co innego w naszej męskiej szkole, a co innego przed dziewczętami. Ale już mnie zakrzykują najbliższej siedzącej: zrób jakąś minkę. Więc już muszę i robię minę przejęzycznego, minę ucznia wywołanego do tablicy, nadsłuchując akcent naszego profesora historii Horyszewskiego, przedstawiam ucznia, który recytując wiersz zapomniał dalszej treści i wstawia fragmenty z wierszy innych poetów.

Ku mojemu zadowoleniu popisy podobają się i dziewczęta naprawdę są rozbawione. Wreszcie znów jesteśmy na sali. Podchodzi do mnie nasza madama St. Kozikówna i mówi: Pięknie tańczyłaś walc; kto cię nauczył? Odpowiadam, że moja starsza siostra Kryśka. Znów tańczę z Zosią, orkiestra gra przeboje tego sezonu, a więc tango „Wioletta”, fokstrot „Idzie muzyka to Szandor z swą kapelą”, tango „Habanera”, „Spój serce moje cichutko” i nawet taniec, którym pasjonuje się świat „Lambeth Walk”. Tańczę go z naszą Madamą. Jest oczarowana koleżnym moim popisem. Dobrze jest mieć siostrę. Inni stoją i gapią się z zazdrością.

Dochodzi godz. 23. Jeszcze pożegnalny walc, jeszcze raz wirujemy z Zosią poprzez salę, między filarami pod pięknymi dekoracjami, mimoza pachnie, pajak siedzi na moim ramieniu, i kręcimy się, kręcimy, kręcimy...

Pożegnanie, całujemy ręce dyrektorki i wychowawczyni, dziękujemy za uroczny wieczór, wracamy gromadą i odprowadzamy dziewczęta do domu. Umawiamy się na następny karnawał i zapraszamy je na zabawę, którą my urządzimy.

Zabawy tej nie zorganizowaliśmy już nigdy. W pół roku później dziewczęta z Unii Lubelskiej i my z Gimnazjum Zamojskiego pełniliśmy służbę łącznikową i sanitariuszek, telefonistek i wartowniców, gasiliśmy pożary i ratowaliśmy zabytki przed zniszczeniem przez niemieckie bomby, które spadały na Lublin codziennie od 2 września 1939 r. Nie przeżył wojny Andrzej Szwacki, Wojtek Amon, Józio Chabrowski, Józio Gradowski, Sławek Siemion i Zygmunt Górniak. Wiele dziewcząt z gimn. Unii Lubelskiej siedziało na „Zamku”, w obozie na Majdanku, w Ravensbrück, wiele nie wróciło.

Mój pajak podczas kilkakrotnego usuwania nas z mieszkania przez Niemców gdzieś się zawieruszył. Zosi nie spotkałem więcej. Nie wiem, co się z nią stało. Może gdzieś żyje i czasem wyjmując zaruszoną gałązkę mimozy przypomina sobie pierwszą szkolną zabawę, która była ostatnią...

OKO - JICE SZTY - KI

ścią. Artysta odwiedza je często, jeszcze częściej przenosi ich wygiąd na płótno. Odnoszę wrażenie, że Nadulski próbuje rekonstruować przeszłość, a te malarskie wyprawy w czasie są mu bardzo potrzebne. Przynoszą zresztą obrazy najlepsze w dorobku malarza i wcale nie sentymentalne, co nie znaczy, że całkowicie wyzbyte skłonności do takiego widzenia świata, który minął lub przynajmniej utracił pewne znamienne cechy. Z reguły przecież są to pejzaże odrealnione, komponowane na przekór rzeczywistości, ekspresyjnie deformowane, są to

WIZERUNKI MALARSTWA

EDWARD Nadulski maluje pejzaże, akty, martwe natury. Z uporem podejmuje tematy, które skupiały niegdyś uwagę kolorystów. Komentując obrazy, akcentuje jednak to wszystko, co dzieje się na ich powierzchni. Najchętniej mówi o kolorze, o fakturze, o kompozycji. Zachowuje się zatem jak rasowy kolorysta, który malarstwo utożsamia ze strukturą barwną. Temat jest tylko pretekstem do rozwinięcia swoistej gry błękitów, zieleni, czerwieni... Występuje w kilku wspomnianych wersjach, bo tak nakazuje kultura artystyczna, która ukształtowała Nadulskiego.

Z malarstwem zetknął się po raz pierwszy w latach trzydziestych, w momencie wyraźnej supremacji koloryzmu, przez całe dojrzałe życie przyjaźnił się z Zenonem Kononowiczem, który „zbierał barwę z natury”. Nadulski jest przeświadczony, że kolor stanowi o malarstwie i daje temu wyraz w swojej praktyce twórczej. „Portret żony” czy „Akt kobiecy”, gdzie kontury sylwetek roztopiają się w rozdręganym i świetlistym płamach barwnych, są przede wszystkim źródłem doznań wizualnych. Nawet wielkie płótno „Oddział partyzancki — przeprawa” koncentruje uwagę widza na swej srebrzysto-zielonej powierzchni. Zapomnijmy więc o motywach tematycznych, o znaczeniach, oddajmy się czysto zmysłowej kontemplacji. Nie zawiadziemy się, w twórczości Nadulskiego spotkamy niejedno ciekawe płótno, niejedną powód do estetycznej satysfakcji, a może nawet okazje do nawrócenia się na wiarę — jeśli ją utraciliśmy — w sens kreowania prostokątnego obrazu...

A ja mam ochotę jeszcze raz spojrzeć na wątki tematyczne tej twórczości. Odnajduję wśród nich pejzaże z Kamionki, spod Lubartowa, z Kaziemierza, z Chelma. Są to miejscowości mocno związane z życiem Nadulskiego, z jego dzieciństwem i dojrzałą mlodo-

ską. Artysta odwiedza je często, jeszcze częściej przenosi ich wygiąd na płótno. Odnoszę wrażenie, że Nadulski próbuje rekonstruować przeszłość, a te malarskie wyprawy w czasie są mu bardzo potrzebne. Przynoszą zresztą obrazy najlepsze w dorobku malarza i wcale nie sentymentalne, co nie znaczy, że całkowicie wyzbyte skłonności do takiego widzenia świata, który minął lub przynajmniej utracił pewne znamienne cechy. Z reguły przecież są to pejzaże odrealnione, komponowane na przekór rzeczywistości, ekspresyjnie deformowane, są to

jakby pejzaże autorskiej wyobraźni, inspirowanej pamięcią o przeszłości. Obrazy, o których mowa, eksponowane były w grudniu 1974 r. i styczniu tego roku w lubelskim Biurze Wystaw Artystycznych. W sumie artysta pokazał 40 płócien powstałych w okresie trzech minionych lat. Ten zestaw uzmysłowił nam dystans, jaki przebył Nadulski w swojej twórczości, na gruncie lubelskim znanej lepiej gdzieś od początku lat sześćdziesiątych. Autor „Portretu Elizy” malował wówczas duże kompozycje figuralne i pejzaże, porządkowane wyraźnym konturem. Trzymał on po szczególne partie obrazów, podnosił ich ton monumentalny, ale zarazem sygnalizował jakoby wewnętrzne skrzepowanie artysty, jego obawę przed gestem swobodniejszym i ryzykownym. Również paleta barwna, którą posługiwał się wówczas Nadulski, była mocno zredukowana: do ciemnych czerwieni, bieli, szarości i czerni. W owych latach sądziłem, że ten zestaw środków i typ rozwiązań formalnych pozostają w bezpośrednim związku z ogólniejszą koncepcją autora. Dziś wiem, że owa a s c e z a nie była kwestią wyboru, lecz konieczności. Nadulski — także działacz społeczny i polityczny — stawał przed sztalugami okazjonalnie i czuł się w tym miejscu niepewnie. Malował pospiesznie, ale rzadko. Sytuacja zmieniła się przy końcu lat sześćdziesiątych.

Edward Nadulski pracuje dziś wyjątkowo intensywnie. Maluje zupełnie inaczej, niż przed dziesięć laty, ale w niektórych obrazach — przede wszystkim o tematyce społecznej — pojawia się znany już kontur. Tyle że bardziej malarski, swobodniej prowadzony i rytmicznie pulsujący, dostosowany do obecnej postaci tego malarstwa, którego dynamiczna formuła nosi wszelkie cechy odrębnej, indywidualnej kreacji.

IJK



Rys. W. Fuglewicz

Sennik egipski

- 27 -

- Paszcza — niezaspokojone pragnienia
- Paszet jeść — ktoś ci nawymyśla
- Paszet przyrządzać — wywołasz kłótnie i niepokój
- Patelnia — nieprzyjemności przez swarliwą sąsiadkę
- Patent otrzymać — dokończysz zaczętego dzieła
- Patrol — spokój i pewność
- Patrol nieprzyjacielski — zdrada, ostrzeżenie
- Paw z rozłożonym ogonem — pycha ośmieszy cię
- Paw krzyżący — zła skutki grzesznej miłości
- Paw — miła znajomość
- Paznokcie ładne, czyste — towarzystwo inteligentnych ludzi
- Paznokcie brudne — choroba
- Paznokcie obgryzać — złość, chęć zemsty
- Paznokcie obcinać — pohamujesz swawole
- Paznokciami drapać — obrona przed upadkiem
- Paź — niefrasobliwe marzenia
- Pączki jeść — zabawa w wesołym towarzystwie
- Pączki smażyć — goście w domu
- Pąki kwiatów — nowa miłość
- Pehły — dokuczliwe sprawy
- Pehły łapać — unieszkodliwienie szkodników
- Pehły gryzące — zła wiadomość, strata
- Peleryna — zagadkowa przyszłość
- Pełnomocnictwa udzielić — obdarzysz kogoś zaufaniem
- Pełnomocnictwo otrzymać — zdobędziesz zaufanie
- Pełne naczynie — zawsze przynosi zysk
- Pensjonat — zmiana otoczenia
- Perfumy wachać — miłosne odurzenie
- Perfumy kupować — nabawisz się kłopotu
- Perfumami skraplać się — popelnisz niezszerzość
- Pergaminy stare oglądać — stara miłość nie rdzewieje
- Perliczki — rozgadane towarzystwo
- Perły rozsypane — lzy i cierpienia
- Perły nosić — bogactwo nie przyniesie szczęścia
- Perły oglądać — niespełnione nadzieje
- Peruka — oszustwo
- Perukę nosić — będziesz dwulicowy
- Pestka — mała rzecz a wielka w skutkach
- Petarda — niespodziewany cios
- Pęcherz — ośmieszysz się
- Pęcherz na ciele — cierpienia moralne
- Pędzel widzieć — spotka cię nieprzyjemność w towarzystwie
- Pędzlem malować — kłamstwem chcesz się wykryć
- Pęki rozwiązywać — spełnisz trudne zadanie
- Pęki zawiązywać — samochcąc utrudniasz sobie życie
- Pętlica — podejda cię chytrze
- Pianie koguta na płocie — goście
- Pianie koguta na ziemi — nowiny
- Piana — wielkie zamiary pozostaną marzeniem
- Pianę ubijać — wybujałe wyobrażenie o sobie
- Pianino — niezaspokojone marzenia
- Pianista — rady człowieka niepraktycznego
- Piasek sypki — zmartwienie, kłopoty materialne
- Piasek mokry — zmartwienie moralne
- Piaskiem być zasypanym — poniżenie własnej godności
- Piastować dziecko czyste — powodzenie w interesach
- Piastować dziecko brudne — plotki
- Piastunka — wierna, oddana ci osoba
- Piątek — więcej wstrzemięźliwości w życiu
- Pię wodę czystą — zadowolenie, pomyślność
- Pię wodę brudną — wyrzuty sumienia, niedomagania
- Pię napoje — przeżycia erotyczne
- Piec nowy — zmiana miejsca pobytu
- Piec gorący — dobrobyt
- Piec zimny — rozczarowanie
- Piec ustawiać — dobre zabezpieczenie starości
- Piec chleb — powodzenie w interesach
- Piec ciasto — swaty, pogodzenie zwaśnionych
- Piec tort — miły gość w domu
- Piec mięso — dojdiesz do celu
- Pieczara — niebezpieczeństwo
- Pieczarki — dolegliwości
- Pieczęń twarda — strapienie, różne trudności
- Pieczęń miękka, smaczna — łatwość w przeprowadzeniu zamiarów
- Pieczętować — swoje postanowienia doprowadzisz do końca
- Pieczęta — urzędowe zawiadomienie
- Pieczyno świeże — niedomagania, choroba
- Pieczyno czerstwe na stole — pomyślny zwrot w interesach
- Pieczyno jeść — zadowolenie cię spotka
- Pieczyno spleśniałe — zły stan interesów
- Pieczyno oglądać przez szybę — głód
- Pięgi — nieprzyjemne wiadomości
- Piekarnia — dużo nowych interesów
- Piekarz — spotka cię zawód
- Pielegniarka — dla zdrowych — zapowiedź choroby
- Pielegniarka — dla chorych — niespodziewana pomoc
- Pieluchy czyste — powiększenie rodziny
- Pieluchy brudne — plotki, obmowy
- Pień — śmierć w rodzinie
- Pieniądze liczyć — niepewny zarobek
- Pieniądze zgubić — zmartwienie
- Pieniądze znaleźć — niespodziewana pomoc
- Pieniądze podarte — strata; obliczenia twe zawiodą
- Pieprz — nieporozumienie, kłótnia
- Piernik jeść — rozczarowanie cię spotka
- Piernik przyrządzać — powikłanie spraw
- Pierścionek nosić — dotrzymanie zobowiązań
- Pierścionek zgubić — rozstanie
- Pierścionek znaleźć — niezgoda przez zazdrość
- Pierścionek otrzymać — pociecha, wyróżnienie
- Pierścionek kupować — zareczyły
- Piers pełna — zdrowie, zadowolenie
- Piers zarośnięta — będziesz miał dużo pieniędzy
- Pierwiosnki — po smutku, radość
- Pierze — zmartwienie, przykrość
- Pierzyna — jaka przyśni się pierzyna taki stan gospodarstwa

Dalszy ciąg nastąpi

KULTURA 1975

Ksawery Piwocki

W WIEKU 73 lat zmarł w grudniu 1974 r. w Warszawie prof. dr Ksawery Franciszek Piwocki, wybitny historyk sztuki, wieloletni prorektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, dyrektor Muzeum Etnograficznego w stolicy, laureat Międzynarodowej Nagrody Fundacji Herdera. Urodzony w 1901 r. we Lwowie, studiujący historię sztuki u Władysława Podlasy, swoją działalnością naukową wywarł ogromny wpływ na powojenny rozwój tej dyscypliny. Jako jeden z pierwszych wnikliwie analizował twórcę ludową, akcentując jej oryginalny i inspirujący artystów profesjonalny charakter. Nie był typem naukowca, który świat sprowadza do czterech ścian gabinetu, brał czynny udział w bieżącym życiu artystycznym, zajmował się krytyką sztuki, opublikował setki artykułów w prasie literackiej, społeczno-kulturalnej, nie mówiąc o periodykach specjalistycznych. Pisał wstępy do katalogów wystaw, zasiadał w jury, uczestniczył w plenerach plastycznych i sympozjach poświęconych plastyce nowoczesnej. Nie był doktrynerem, miał otwarty stosunek do nowych zjawisk artystycznych. Był także organizatorem, działaczem: czuwał nad odbudową pałacu Raczyńskich, gdzie obecnie mieści się ASP, prowadził odbudowę i prace adaptacyjne przy gmachu Państwowego Muzeum Etnograficznego, w latach 1945-1950 pełnił funkcję dyrektora Państwowego Instytutu Sztuki i Inwentaryzacji Zabytków przy MKiS, kilkakrotnie prezesował Stowarzyszeniu Historyków Sztuki. O wszechstronności zainteresowań K. F. Piwockiego najlepiej świadczy przykładowy rejestr tytułów jego publikacji naukowych: „O historycznej genezie polskiej sztuki ludowej”, „Sztuka żywa” (3 sędach wartościujących A. Jędraka), „Historia Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie”.

A przy tym wszystkim Ksawery Franciszek Piwocki był człowiekiem wielkiego serca.

W latach międzywojennych pełnił funkcję Wojewódzkiego Konserwatora zabytków w Lublinie. Po ostatniej wojnie odwiedził miasto, wchodził m.in. w skład międzynarodowej ekipy ekspertów, która wskazywała na potrzeby i celowość lokalizacji Muzeum Wsi Lubelskiej przy ul. Kalinowszczyzna.

IJK

Michała Szotachowa powołano w ZSRB specjalny komitet, który przygotowuje szeroki program obchodów, w tym scenę naukową na temat „Twórczość Szotachowa a literatura światowa”.

● Pisarz radziecki Jurij Bykow należy do czołowych literatów w swoim kraju. Pisze on po białorusku, a następnie sam swoje utwory tłumaczy na język rosyjski.

● Do najpoczytniejszych bestsellerów ub. roku w USA należały dwie książki Phillipa Rotha: „Our Gang” (pamflet adresowany do byłego prezydenta Nixona) oraz „The Great American Novel” (zakulisowe machinacje na szczytach władzy, na przykładzie sportu).

Teatr

● W dniach od 23 do 27 marca odepędzie się w Szczecinie Ogólnopolski Przegląd Teatrów Zawodowych Małych Form Scenicznych. Zaprezentowane zostaną przedstawienia nie objęte repertuarami teatrów i nie wystawiane na poprzednich przeglądach.

Warszawa posiada obecnie 23 scen w teatrach dramatycznych, lalkowych i muzycznych. Mają razem ponad 12 tys. miejsc. W roku bieżącym dadzą one łącznie 83 premiery, 10 więcej niż w roku ub.

● Warszawski Teatr Studio wystawił premierę sztuki młodego dramaturga czeskiego, Helmuta Kajzara, pt. „Rycerz Andrzej”. Reżyseria i inscenizacja autora.

● Bardzo rzadko grywana sztuka Szekspira „Henryk VIII” czyła wszystkim to „prawda” wystawił Teatr Nowy w Łodzi w reżyserii Jerzego Golińskiego.

● W przeddzień 30 rocznicy wyzwolenia miasta — w Opolu przekazano został do użytku nowy budynek teatru, któremu nadano imię Jana Kochanowskiego. Duża scena posiada 700 miejsc, mała — ponad 200, lalkowa 370. W niedłukiej przyszłości zostanie wyodrębniona scena objazdowa.

● Po pięcioletniej przerwie przyjechał do Polski na szereg występów (z programem pt. „Wybór 74”) leningradzki Teatr Miniatur Arkadego Rajkina.

● W węgierskim mieście Győr tamtejszy teatr wystawił „Moralność pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej.

Sztuka

● Dworzec Centralny w Warszawie jest pierwszą w Polsce budową, przy której od początku pracują plastycy celem nadania obiektom pięknego i nowoczesnego wystroju. Z ramienia Pracowni Sztuk Plastycznych projekt, który zyskał wysoką ocenę, opracowali: K. i A. Pańkowsky, H. Chruściel, A. Romanowicz i L. Domaszczyński.

● W Hawanie w teatrze „Mel-la” odbyła się premiera baletu

Ludomira Różyckiego „Pan Twardowski”. Choreografie przygotował Witold Borkowski, scenografię Marian Stańczak. Zespół kubański wybiera się ze spektaklem na tournée po krajach Ameryki Południowej.

● Podczas budowy nowej drogi w pobliżu Batumi odartyo 25 przedmiotów ze złota (łącznie wagi prawie 1,5 kg) — statuetki, lancuchy, brosze zdobione cennymi kamieniami. Skarb reprezentuje wysoki kunszt artystów — jubilerów Kołchidy późnej epoki antycznej.

● Równo sto lat istnieje już Muzeum Ludowej Sztuki Humani. Posiada ono ponad 70 tys. eksponatów.

● W Sofii urządzono wielką wystawę, prezentującą wyniki współpracy przemysłu z artystami. Pokazano 3 tys. prac 417 artystów bułgarskich.

● W Brukseli odnaleziono 44 obrazów — Pissarro, Utrilla, Braque'a i innych — które w polowie listopada skradziono we Francji. Wartość tych dzieł ocenia się na milion dolarów.

Muzyka

● W konkursie kompozytorskim im. Grzegorza Fitelberga, zorganizowanym przez PR i TV, pierwszej nagrody nie przyznano. Drugą otrzymał Kazimierz Bronisław Przybylski z Łodzi za „In memoriam Pablo Picasso — Guernica”, trzecią Włodzisław Niedzielski z Kłomontowa za „Sequenza III”.

● Polskie Nagrania i Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie wydały czteropłyty album (w kasiecie) „Polska Muzyka Współczesna (I) — Panorama 1944-1974”. W tej serii ukaza się jeszcze dwa albumy, obejmujące dzieła dalszych kompozytorów.

● Opera Wroclawska wystawiła operę dla dzieci kompozytora leningradzkiego Wiktora Lebediewa „Czarodziej Smaragdowej Góry”. Polskie libretto napisał Jan Baldrian i Jonasz Wilck.

● Teatr Muzyczny w Łodzi wystawił sztukę dla najmłodszych widzów pt. „Przygody rycerza Panfaronia” z muzyką A. Brzozowskiego i tekstem łódzkiego dziennikarza J. Panasewicza.

Film i TV

● „Wesele” w reżyserii Wajdy obejrzało w RFN ponad 30 mln widzów. Niemal wszystkie recenzje były entuzjastyczne.

● Polska Kronika Filmowa, która narodziła się w Lublinie, obchodzi 30-lecie. Dotychczas zaprezentowała ona widzom około 30 tys. tematów, także zagranicznych, pochodzących z wymiany z 40 krajami. W redakcji PKF pracuje 12 dziennikarzy, 13 operatorów oraz personel techniczny.

● Stanisław Dygat współreżyserem Jerzym Hoffmannem piąte seminarium „Trójkąt” Heleny Miśkówny. Ma z tego powstać jakby polskie „Love story”, ukazujące zarzem to, co w piarstwie Miśkówny jest war- tościowe.

● W Leningradzie odbyła się premiera filmu „Blokada” reżysera Michała Jerzowa według powieści Aleksandra Cziczowidze- go pod tym samym tytułem. Ogo- wiada on o 899 dniach oblężenia tego miasta przez wojska hitler- owskie.

● Nowojorski Klub Krytyków Filmowych przyznał Sococzną nagrodę za najlepszy film roku Fellinimu za jego „Amarcord” — reminiscencje z lat trzydziestych w małym miasteczku włos- kim.

● Jean Marais opublikuje wkrótce swoją autobiografię. Do niej będzie dołączonych 70 portretów Janna Cortezai, dotyko- wanych aktorów.

Różne

● Nagrody prezydenta Gdyni otrzymali m. in. pisarz marynisty Karol Borchardt, reżyser i dyrektor Teatru Muzycznego — Danuta Baduszkowa oraz pianytk Kazimierz Ostrowski.

● Biblioteka Jagiellońska posiada 1 700 tys. woluminów. Rocznie przybywa około 70 tys. książek.

● Popularna „Cepella” rozpoczęła 25 rok swego istnienia. W 1974 r. sprzedała ona wyroby wartosci 2 120 milionów zł.

● Londyński tygodnik satyryczny „Punch” zamieścił złozone z 365 słów recenzje sztuki „Twice Brightly” walijskiego komika Harry Secombe. Recenzja podpisana jest literką „c” ale wiadomo że jej autorem jest książę Karol, nastę- pca tronu brytyjskiego. Otrzymał za nią honorarium w wysokości 30 funtów szterlingów.

Lubliniana

● Dom Kultury LSM zorganizował wystawę prac rzeźbnych człon- ków Klubu Złotego Wieku.

● 5 i 6 kwietnia odbędzie się w Swidniku IV Wojewódzki Przegląd Muzycznych Zespołów Młodzieżowych — po eliminacjach rejonowych w Białej Podlaskiej, Chełmie, Lublinie, Puławach i Zamościu.

● Lublin zyskał nowe kino — „Grażynę”, wprawdzie dosyć małe (180 miejsc), ale w oddalonej od śródmieścia dzielnicy LSM (ul. K. Wallenroda 4a).

● W związku z uruchomieniem nowych urządzeń technicznych mieszkańcy okolic Białej Podlaskiej (na kanale pierwszym z prę- dnością polaryzacja anteny) i Bru- bieszowa (kanał dwunasty z prę- dnością polaryzacja anteny) uży- wają znacznie lepszy odbiór pro- gramów telewizyj.

Literatura

● W Warszawie, Toruniu i Włocławku przebywała delegacja pisarzy radzieckich z udziałem sekretarza ZG Związku Pisarzy ZSRR Jurija Wierzenko. Zapoznali się oni z ostatnimi wydarzeniami naszego życia kulturalnego i literackiego, a następnie podpisali umowę o współpracy pomiędzy Związkiem Pisarzy ZSRR a Związkiem Literatów Polskich.

● Wrocławski Klub Młodych Literatów wraz z Klubem Młodzieży Robotniczej i Szkolnej

„Pewnica Swidnicka” urządziła wspólne biesiady literackie, dostępne także dla osób, nie będących członkami. Ufundowano nagrodę dla młodego wrocławskiego literata, który podejmie problematykę młodego pokolenia naszego kraju.

● W związku z 70 rocznicą urodzin K. I. Gałczyńskiego w moskiewskiej Bibliotece LiteratURY Oboej odbyła się wystawa, na której zgromadzono jego książki w językach polskim i rosyjskim, a także prace teoretyczne na temat jego twórczości.

● W związku z przypadającą w maju 75 rocznicą urodzin

noty i notki

Z samochodowej wyprawy do Warszawy przywoziłem sobie 80 (słownie: osiemdziesiąt) rolek papieru higienicznego. Najpierw skromnie kupiłem w Rykach 10, potem drugie 10 w Garwolinie, wreszcie cały worek w stolicy. W tych trzech miejscowościach owego papieru było w bród, natomiast w Lublinie brakuje go od kilku tygodni. Ponieważ papier higieniczny według oficjalnej nomenklatury jest artykułem użytku kulturalnego, nasuwa się oczywisty wniosek, że Lublin jest za- cofany kulturalnie nawet w stosunku do Ryk. Co zawdzięczamy chyba mało kulturalnym handlowcom.

Zanika tradycja w narodzie. Pewna czytelniczka „Kurier Lubelski” poskarżyła się redakcji, że kawiarnia „Czarcia Lapa” nie przyrzadziła jej zamówionego na wesele tortu, obiecując natomiast zrobić go na dzień następny. Zrozpaczona czytelniczka zapytała wtedy dramatycznie: „Po co?” A gdyby, zgodnie z tradycją, weselisko trwało trzy dni, tort byłby na czas.

Tygodnik „Forum” miał ostatnio niesamowite powodzenie. Podobno uruchomiono nawet czarną giełdę, na której za jeden egzemplarz płacono sto złotych. A wszystko dlatego że dwie przedsiębiorcze maturzystki in spe wywiesiły w jednym z akademików ogłoszenie, że na studniówkę poszukują dwóch miłych studentów i że znakiem rozpoznawczym w hallu Biblioteki UMCS ma być trzymane w ręku owe „Forum”. W oznaczonym dniu

hall był przepelniony, ale nie tylko studentami. Było wiele matek oraz nauczycieli, którzy ten sposób poszukiwania partnerów uznali za niewłaściwy.

„Poezja” ostatni swój numer (12 z ub. roku) poświęciła młodym autorom, wyjaśniając na ostatniej stronie, że chodzi także o ludzi, którzy już przekroczyli trzydziestkę. W jednej z zamieszczonych tam recenzji Stefan Melkowski twierdzi, że dzisiejszy poeta liryczny, we wnętrzu którego „aż kpi od uczuć, a tymczasem usta ma zamknięte przez groźne prawa poetycznego konwenansu”, zamiast pisać liryki powinien — śpiewać. Kłopot z tym, że autor nie precyzuje swojej rady, co powinien śpiewać, kiedy, gdzie i jak.

Uczyli mnie zawsze w szkole, że człowiek nie może nie myśleć. Tymczasem Zbigniew Bieńkowski („Twórczość” nr 12) zarzuca Przybosiowi rzecz bardzo brzydka i niemożliwa. Pisze bowiem, że podobnie jak Paul Valery, Przybóś był perypatetykiem „który tworzył i myślał wyłącznie na przechadźce”. Pomijając niezbyt precyzyjne określenie perypatetyków (rzecz polega — wzorem Arystotelesa — na prowadzeniu dysput podczas przechadzania się), warto zapytać Bieńkowskiego, co robił Przybóś, gdy nie spał i nie przechadzał się? Nie myślał?

Z okazji wyzwolenia stolicy Wojciech Iwańczak wziął do ręki kilkanaście roczników statystycznych i napisał w „Tygodniku Kulturalnym” (nr 3) niemal całostronnicowy wstępniak, w którym więcej liczb niż słów. Kto bohaterko przebrnie przez tę gęstwinę statystyki, dowie się w ostatnim akapicie, iż autor żałuje, że GUS nie notuje np. liczby blondynek i brunetek, kłótni małżeńskich i koloru samochodów. No cóż, nie notuje i wielu innych zjawisk, jak np. liczby nadeptnięć na nagniotki, liczby odezwań się w rodzaju „pan nie wie, kto ja jestem” itd.

JOD

ekran i widz

Trzydziestolecie polskiego filmu dokumentalnego

POLSKI film dokumentalny obchodził swe trzydziestolecie. Przed 30 laty właśnie, w listopadzie 1944 roku, w wyzwolonym Lublinie wyświetlono reportaż „Majdanek”, a 1 grudnia tegoż roku po raz pierwszy pojawiła się na ekranach Polska Kronika Filmowa. W jej pierwszym wydaniu znalazł się m. in. fragment poświęcony uratowaniu „Grunwaldu” Matejki. W czwartym numerze PKF z 1 lutego 1945 roku czołową informacją filmową było wyzolenie Warszawy.

Z okazji 30-lecia w Wytwórni Filmów Dokumentalnych w Warszawie odbył się w ostatnich dniach grudnia 1974 r. uroczysty wieczór, na którym grupa zasłużonych pracowników WFD i PKF otrzymała odznaczenia przyznane przez Radę Państwa.

Przypomnijmy: pierwszym polskim filmem dokumentalnym, zrealizowanym jeszcze w ZSRR, w Siecach, we wrześniu 1943 r., był reportaż „Przybiegamy ziemi polskiej”. Następnie pojawił się miesięcznik filmowy „Polska walcząca”, w którego pierwszym numerze ukazano wymarsz 1 Dywizji WP na front i walki pod Lenino. Drugie wydanie tego miesięcznika było kroniką aktualnych wydarzeń, związanych z formowaniem się polskich sił zbrojnych w ZSRR.

Taki był początek kinematografii, nie tylko zresztą dokumentalnej, w

odradzającej się Polsce. Z tego też okresu dokumentalistyka polska wywodzi swój rodowód.

Polski film dokumentalny miał i ma, oczywiście, swe blaski i cienie, ale każdemu, kto uważnie śledzi jego rozwój, rzuca się w oczy zaangażowanie społeczne i ambicja realizatorów, troska o stałe poszerzanie kręgu tematycznego i formuły estetycznej tworzonych dzieł. Oceniając z perspektywy 30 lat poszczególne okresy dziejów filmu dokumentalnego musimy się zgodzić na szereg bezspornych pozytywów. Należy do nich niewątpliwie różnorodność form polskiego dokumentu i wszechstronność tematyki realizowanych filmów, indywidualność stylów widoczna w twórczości poszczególnych realizatorów. Nie należy zapominać też o istotnym wkładzie w sukces polskiego filmu dokumentalnego pracy wielu utalentowanych operatorów.

W ciągu 30 lat zrealizowanych zostało 2525 tytułów polskich filmów dokumentalnych oraz 2482 wydania Polskiej Kroniki Filmowej. W sumie — 9560 aktów filmowych, około 3 milionów metrów ekranowych taśmy, co odpowiada mniej więcej 1300 filmom pełnometrażowym.

Przed 25 laty „dokument” znalazł stałą siedzibę w zbudowanej w Warszawie przy ul. Chełmskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Realizuje się tu rocznie około 50 filmów dokumentalnych dla kin, 90 — dla TV, kilkadziesiąt na zlecenie różnych kontrahentów krajowych i zagranicznych, 102 wydania PKF oraz kilkanaście filmów fabularnych dla kin i TV.

Polskie filmy dokumentalne zdobyły przeszło tysiąc nagród i wyróżnień na festiwalach krajowych i zagranicznych. Pierwszą — Grand Prix w Cannes — otrzymał w 1946 r. utwór Jarosława Brzozowskiego „Wieliczka”. WFD bierze co roku udział w przeszło 50 festiwalach międzynarodowych, a od 1961 roku uczestniczy w Festiwalach Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, gdzie zdobyła wiele czołowych nagród.

Odpowiedzi redakcji

J. K. Radzyna Podlaski. „Czy warto jest żyć”? Przyznam się, że zdziwiło mnie to pytanie postawione przez kilku-nastoletnią dziewczynę. Sytuacja się jed-nak wyjaśniła: „On odszedł tak nagle jak mówią nawet dżadzi”. W tych warunkach moja rada nie będzie lite-racka, ale życiowa: poczekać, po tygodniu po dwóch pojawi się inny on i niu po dwóch warto żyć. Przepraszam za znowuśkowienie tej odpowiedzi. Zofia By-strzycka w „Zwierciadle” na pewno u-dzieliłaby wnikliwszej, ale nie mogę dy-letancko wkręcać w jej dziedzinę.

L. Sz. Płock. Aczkolwiek przykro mi to stwierdzić, muszę przyznać, że trzy redakcje miały rację: te wiersze nie przedstawiają żadnej wartości. Dlaczego? Chciałbym, by sam Pan do tego doszedł. To co Pan uważa w nich za oryginal-ność, jest nieopinionowaniem słowa, co ma być własne — jest nieporadnie powtó-rzone, co niby odkrywcze — gorzej niż banalne, bo zadne. Np. jaką ma Pan pretensję do nowożeńców? Ze najpierw jest marsz Mendelssohna i szampań, a później gromadzenie mebli? Cóż, wi-docznie nie chcą spać na pryzkach. In-nych zarzutów Pan nie stawia.

Autorka korespondencji z 14 wierszami. Jak Pani widzi, dyskusja zapewniona. Teraz mogą sobie pozwolić na pełną otwartość, tzn. ocenę bez kurtuazyjnych eufemizmów. Wiersze są złe. Zupenie złe. Proszę się nie sugerować przychylną oceną znajomych, którzy przecież nie są zainteresowani w wywoływaniu nie-zręczności towarzyskich. Jest to, wła-snymi słowami „przytoczona powtórka z drugorzędnych poetów ubiegłej epoki, kiedy usta obowiązkowo musiały być „malinowe”, kiedy ranna dusza spowija-ła daleką tęsknotą, a rymy (twoja, moja) nie wychodziły poza najłatwiejszą kanwę gramatyczną. Jak mało myśli, jak mało kontroli towarzyszy podobnej praktyce, widać na przykładzie wiersza o porach roku, w których znajdujemy następujący pasus: „Wiosna dokładnie wszystko po-woli obudzi szybko z zimowej drzemki”.

J. J. Warszawa. Przyzna Pan, że to zadanie dość wygórowane: przysłać je-den wiersz i oczekiwać jego oceny. Tro-che to jak wymagać recenzji muzycznej po jednym uderzeniu w klawisz. Całe szczęście, że wiersz określa się sam. Jest niefortunny, niedojrzały, blady. Nic in-nego nie można powiedzieć, a i tak licz-ba słów użytych w tej odpowiedzi prze-kracza jego rozmiar.

J. S. Jest Pan autorem pierwszego li-stu, w którym się mówi, że odpowiedzi w tej rubryce są zbyt surowe. Dla prze-ciwności musiałbym służyć innymi. Ale nie o to chodzi. Popełnia Pan błąd w samym podejściu do sprawy. Mianowicie w tej rubryce mówię głównie o wiersz-ach, które nie uzyskały dodatniej kwa-lifikacji, stąd charakter i treść odpowie-dzi. Jak może być inaczej? „Pański wiersz jest świetny, ale go nie wydru-kujemy” — chciałby Pan coś takiego w tym miejscu przeczytać? Proszę mnie nie namawiać do błędów logicznych. A czy rzeczywiście autorom nieprzyjętych wierszy nie podsuwa się propozycji zmierz-ających do nabycia doświadczenia literac-kiego? Proszę jeszcze raz przeczytać tę rubrykę, ale w rozmiarze większym niż jeden (25) numer. Kończąc Pan swój list słowami: „Jestem w tym osobiście zain-teresowany, gdyż napisałem już kilka wierszy (w moim odczuciu bardzo do-brych) i zależy mi, by trafiły one na podatny, życzliwy grunt”. Łączę gratula-cje z powodu dobrego samopoczucia.

J. C. Bilgoraj. Szczególnie „Sreca czer-wone” potrafią ująć czytelnika. Mają jakiś charakter nieskrępowania, śmiało-ści, który chwytają. Wszelako do publi-kacji się jeszcze nie nadają. Czyta się dobrze, w druku — wyjął wszelkie słabości Radzimy popracować i przysłać coś następnego.

A. B. Lublin. Tego tematu nie można rozstrzygnąć za pośrednictwem paru wierszy korespondencji. W ogóle podpo-wiadać osobowości nie mogę. Mogę co najwyżej wytknąć błędy w tekstach już powstałych, a i to w sposób dyskusyjny, a nie rozstrzygający. Radzę szerzej zapoznać się ze współczesną poezją. Czy-tać.

Szyfrogram literacki (nr 2)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przemieścić diagram liter na miejsce odpowiadające im liczbom i odczytać rozwiązanie, którym jest fragment wiersza poetki polskiej, której imię i naz-wisko dadzą pierwsze litery początkowych 23 wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze:

- 8. 85, 10. 4, 153 — zwierzę hodowlane,
- 21. 24, 46, 110, 67 — dowód niewinności,
- 87. 63, 43, 65, 23 — najmłodszy harcerz,
- 7. 79, 52, 155, 55 — państwo w Azji,
- 76. 20, 16, 92 — klub sportowy z Jelicza,
- 12, 154, 19, 147, 137 — rozped,
- 35, 113, 85 — fabryka w Poniatowej,
- 32, 73, 66, 28, 99, 72, 22 — poważanie, szacunek,
- 28, 70, 158, 96, 133 — zawiadomienie o na-dziejcu przesyłki,
- 14, 146, 69, 71, 129 — Troja,
- 58, 49, 107, 114, 92 — wieś garncarzy w powiecie janowskim,
- 62, 5, 121, 103, 157, 75 — miasto w powie-cie lubelskim,
- 51, 134, 118, 91 — grecki bóg wojny,
- 17, 128, 30, 77, 136, 89, 145 — zabiegi bal-neologiczne,
- 3, 150, 145, 111 — są organami wzroku
- 45, 23, 21, 44 — jeden ze zmysłów,
- 41, 2 — skała osadowa drobnziarnista,
- 56, 42, 132, 82 — szczyt,
- 34, 99, 149, 88 — ostry chłód,
- 140, 8, 47, 99, 39, 139 — łyżwiarskie i ro-werowe figury,
- 60, 97, 143, 130 — zezwolenie na wjazd do obcego państwa,
- 6, 106, 84, 120, 125, 36 — rzecz święto wprowadzona na rynek,
- 57, 11, 142, 27 — góry w Ameryce,
- 74, 113, 68, 119 — mała córka,
- 22, 127, 73, 50 — od złych wieści,
- 112, 117, 81, 13, 123 — pęta,
- 141, 144, 151, 143, 139 — figury szachowe,
- 83, 103, 64, 116, 59 — powieść W. Wasil-wskiej,

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14
15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25		26	27	
28	29	30	31	32	33	34	35	36		37	38	39	40	41
	42	43	44	45	46	47	48	49		50	51	52	53	54
56	57	58	59		60		61	62	63	64	65		66	67
69		70		71	72	73		74	75	76	77	78	79	80
	81		82		83	84	85	86	87		88	89	90	91
95		96	97	98	99	100		101	102	103	104	105	106	107
	108	109	110	111	112	113	114	115	116	117	118	119		120
122	123	124		125	126	127	128		129	130		131	132	133
136			137	138		139		140	141	142	143	144	145	
148	149	150	151		152	153	154	155	156	157	158	159		

130. 1. 80, 156, 102 — pigment o barwie od żółtej do ciemno brązowej,
27. 95, 49, 99 — modna w latach trzy-dziesiątych zabawka,
131, 124, 23, 40, 105, 104 — rozumy, tegie głowy,
94, 122, 100, 152 — leśny krewniak świni,
101, 13, 54, 61 — tętno,
25, 18, 126, 109 — opiekunka dzieci.
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131 20-950 Lu-blin). Wśród autorów prawidłowych roz-wiązań rozlosujemy bony książkowe.
Rozwiązanie krzyżówki z nr 26:
Poziomo: córka, kwartał, stopa, bawelna, pojazdy, Ina, Bar, niesmak, Siedlce, Tek-

ssa, akapit, komocoria, Esmeralda, Eute-pe, kozmarne, goziniia, praktyka, tona-hawk, tramwaj, posłuch, akt, zło, Iran, figi, runo, okno, Mazana, zab, monizm.
Pionowo: cybernetyk, kapitalizm, komi-sja, Kserkses, kompania, Agromet, nisams, aut, Ra, kolan, ser, kil, junta, ar, Ate, ar, Tu, erg, Ob, sport, lapa, mer, OKP, orbi-ta, ONZ, Kariera, tragedia, helmoian, Po-lonia, asystentka, alkoholizm.
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 26 — cztery bony książkowe po 40 zł wylosowali:
Jan Miesiaczek, Rzeszów, ul. Koszyków 2/3; Józef Kosela; Eliza Orłowska, Lublin, ul. Szymonowicza 12 m. 7; Tadeusz Ułasz, Lublin, ul. Al. PKWN 86.

listy do kamery

BUDOWAĆ RAZEM

Wiedomo, że tzw. baza kultury na Lu-belszczyźnie pozostawia sporo do życzenia. Mamy za mało odpowiednio dużych i zbu-dowanych funkcjonalnie obiektów. Potrzeby w tym zakresie wciąż przewyższają możli-wość materialne głównego inwestora, jakim jest administracja kulturalna. Tymczasem wiódłomo, że duże zakłady przemysłowe dys-ponują całkiem zasobnym portfelem środ-ków finansowych, a poza tym łatwiej im realizować budowę domów kultury, klubów itp. Niestety, jeśli budują, to zazwyczaj dla siebie, dla własnej załogi. W sytuacji ma-łych miast takie rozwiązania jest wprost szkodliwe, prowadzi do powstawania sztucz-nych barier między kulturą zakładową i miejską, utrudniając rozwój jednej i dru-giej. Wydaje się, że mniejsze zakłady pra-cy winny partycypować w budowie środo-wiskowych, ogólnie dostępnych domów kul-tury, natomiast duże — wznosić wielofunk-cyjne obiekty obsługujące całe lokalne śro-dowisko. Obecnie obserwuje się roz-drabnianie nakładów inwestycyjnych. Pozy-tywne przykłady Krainika Fabrycznego, Poniatowej czy zakładów przemysłu ce-krowiczego nie zachęcają jakos innych fa-bryk do naśladowictwa. Przy okazji chcia-łabym zapytać, kiedy wreszcie oddany zo-stanie do użytku cały kompleks obiektów kulturalnych Zakładów Azotowych w Pu-lawach, którego muru od kilku lat przy-pominają o radośnych obłędnicach!

Alicja Owsiany
Puławy

„STAROMIEJSKIE DRESZCZOWISKO”

W związku z publikacjami pod wspólnym tytułem „Staromiejskie dreszczowisko”, które I. J. Kamiński opublikował w 23 i 26 numerach „Kamery”, chciałbym zwró-cić uwagę na jedną z nietypowych dotąd dotychczas uratowania Staro-go Miasta w Lublinie. Chodziłoby o to, aby tzo-rem innych miast w Polsce zespołem tym zainteresować spółdzielczość mieszkaniową. Odpowiednio przystosowane do wymagań współczesnego życia mieszkania wzbudziłyby nietypowe „lokatorskie” zainteresowanie niejednego człowieka. Ostatecznie mieszkać to takiej scenarii to na pewno satysfakcja. Na całym świecie obserwuje się zresztą po-wrót ludzi do dziełnic staromiejskich, dy-skretnie, oczywiście, unowocześnionych. Po-dobno eksploatacja takich mieszkań jest tańsza, niż współcześnie wznoszonych, głów-nie oszczędza się na ogrzewaniu. Grube mury i zwiarta zabudowa lepiej chronią ciepło, a to obecnej sytuacji — kryzysu energetycznego — jest to moment nie do pogardzenia. Wydaje mi się, że propozycja warta jest zastanowienia. (Podobnie jak milczenie udziałowców „renowacji” Staro-go Miasta po wspomnianych publikacjach. Wychodzi na to, że krytyka była całkowicie uzasadniona.)

Marian Podolecki
Lublin

DROGI LUBLINIE — PROSZĘ O GŁOS!

Jubileusz Teatru Lubelskiego! Pięknie za-mierzono i przeprowadzono, trydmiotowe święto trzydziestolecia — pierwszego teatru Polski Ludowej. Dwie premiery: występują-cygo dyrektora „Dożynocie” i doskonale przedstawienie „Krukowiać i górali” go-ściennego reżysera, Jerzego Rakowickiego. Wielki Zjazd Przedstawicieli Kultury — Mecenasów Sztuki i Sztuki teatralnego z całej Polski. Nic więc dziwnego, że w tej masoście nie mogło zabraknąć miejsca na zaproszenie ludzi, którzy naprawdę pierw-si posiedli ten teatr do życia. W ten sposób oto znalazł się w Lublinie — w Teatrze im. J. Osterwy.
Byłam głęboko wzruszona i uroczu przy-jęta: sam młody, pełen kultury, duży

osiągnął i wielkich aspiracji. Dyrektor — uściłnął mi rękę, wygłosił piękne powi-tanie. Posadzono mnie w pierwszym rzę-dzie! Popłynam więc czuć się wdzięczna i usatysfakcjonowana. A jednak... jakiś nie-dosyt — jakiś drobny żal, nie osobisty — nie! Głębszy, istotniejszy...

Za całoc, za znaczenie, za ważność „Pierwszej Chwili”, za Kolegów, którzy wraz ze mną uczestniczyli, w dniu 12 sierp-nia 1944 roku, w szerokim otwartym dzied-zińcu teatru lubelskiego. Przecież ten moment właśnie był zasadniczym położeniem kamie-nia węgielnego pod dzisiejszy, jakże pię-kny i jak wspaniale rozwijający się Teatr im. J. Osterwy.
Rozumiem, jesteśmy już tylko „historią”. Ale mam wrażenie, że z tej historii Lublin powinien być dumny. To nie był kolorowy, wspaniały balon wlatujący „Ad astra” — przy pomocy dzisiejszej techniki, nowoczes-ności i paraciki finansowym odnośnym czynnikom kulturalnym. To był wysiłek garstki aktorów i całego społeczeństwa lu-belskiego. Akorzy ten teatr własnoręcznie porządkowali, oczyszczali, zabezpieczali przed dewastacją. To wysiłkiem tej grupy sprostowano i zaangażowano: Borowskię, Adwentowicę, Grywińską, Chmielewską, Chmielewiczka, Małkiewicz, Pichelakiego, Srodkę, Błońską, Kondradta, Maliszewskie-go, Horecką, Modrzewskiego i wielu, wielu innych, dzięki którym po połączeniu z Teatrem Wojska Polskiego — Teatr Lubel-ski mógł się stać tak wielkim, tak doskona-łym.

Dlaczego więc pierwsza grupa aktorska tego teatru, zaproszona na uroczystość, nie postąpiła stoich narucisk — głośno, z du-mną wypowiedzianych? To im się chyba na-leżało.

I jeszcze jedno: rozumiem, że radośnych uroczystości nie należy przyćmiewać smut-nym akcentem, ale sadzę, że nie byłoby to aż tak deprymujące, a jakieś dodające pod-nieśniej rangi jubileuszowej, gdyby program ceremonii zarządził chociaż pół-minutowe milczenie, poświęcone pamięci Tych, którzy tej chwili nie doczekali — a jednak byli istotnymi, pierwszymi pionierami i uścił-nymi twórcami tego teatru. Mam na myśli przede wszystkim Józefa Klejnera, Antonie-go Różyckiego, Karola Borowskiego, Moku-szysłana Chmielewiczka, Jerzego Torowczy-ka...

I czy nie należało tych pozostałych przy-życiu, a obecnych na sali aktorów zaprosić choć na moment na scenę, aby ich prze-najmniej przypomnieć lubelskiej publicz-ności?

Dlaczego przyjechali? Czy po to, aby zro-zumieć, że stali się już tylko kłopotliwą przeszłością?

Nie chodzi mi tu o żadnym wypadku, o jakieś odznaczenia czy wyróżnienia, których tyle i tak hojnie rozdzielono. Nie! Istotną nagrodą dla tej garstki jest właśnie to, że z naszego gorącego trywu powstał, wyrósł, wypełniał i dziś blizszy teatr, posiadaj-iac kadre doskonałej młodzieży, a przede wszystkim to, że mieliśmy ten wielki zaszczyt, po niedoli okupacyjnej, z tej sceny wygłosić pierwsze WOLNE POLSKIE SŁOWO!

Kiedys, w czasie okupacji, „popelniam” poemat, którego drobny cytat wydaje mi się bardzo aktualny:

.... Cóż my? — drobne liście do historii wieków! ...!

A teraz proszę o naprawienie błędów orga-nizacji jubileuszowej — przypomnienie nazwisk Pierwszej Aktorskiej Ekipy Bojo-woj z dnia 12 sierpnia 1944 roku. Są to: Halina Bujno, Irena Bielenin, Maria Gó-recka, Maria Nochowicz, Irena Starkówna, Maria Zielińska-Koranowa, Józef Klejner, Edward Kowalczyk, Mieczysław Łoza, Mie-czysław Wieleń, i później udaczony — Ste-fan Srodko, oraz niżej podpisana.

Dziękuję, Szanowna Redakcjo, dzieląc się Drogi Lublinie — za udzielenie mi głosu!

Irena Ladosiówna

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zyr-munt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiń-ski, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumerate na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 21, 60-340 Warszawa konto PKO 1-6-106924. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje intere-santów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lu-belskie Zakłady Graficzne im. PKWN. Unicka 4. Zam. 105. 10.1.75. E-4

Numer łamal: Mieczysław Pajtek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-03, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecione i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falszem

Udany „Czart”

NO i mamy w Lublinie wyborczy — wcale nie boję się użyć tego przymiotnika — kabaret. Dawny „Czart” odrodził się i wystąpił z nową premierą w kawiarni „Czarci Łapa”. Znakomite teksty Mirosława Knorr i Kazimierza Pawelka, znakomite aktorstwo wykonawców. Chwała Tytusowi Wilkiemu, szefowi zespołu, który po powrocie do Lublina tak pięknie zaprezentował się publiczności. Jeszcze raz okazuje się, że energiczna, pełna zapału jednostka może zdziałać wiele.

Nie zamierzam pisać recenzji, nie chcę odbierać chleba innym. Muszę

jednak przyznać, że byłoby bardzo trudno kogoś szczególnie wyróżnić, bo wszyscy sąsiadują na gorące okłaski Piotr Suchorą? Oczywiście! Ale przecież Włodzimierz Wisniewski jako anioł (!!!) czy kierowca autobusu PKS też bawił wszystkich niemal do łez!

Kabaret trzyma się życia, tkwi w lubelskich realiach, celnie ośmieszając, ale nikogo nie ponębia. Autorzy tekstów nie są złośliwi i nikomu specjalnie nie dokuczają. Umieją zachować tak, tak bardzo tutaj potrzebny.

Siedziałem cook prezidenta miasta, Ingra Stanisława Bory Smiał się serdecznie, choć przecież i tego nie oszczędzono. Później udzielał na gorąco wywiadu przedstawicielce lubelskiego radia, wyrażał zadowolenie z ciekawej inicjatyw. Wydał się, że prezydent powinien zarządzać, aby wszyscy podzieli mu pracownicy (i dyrektorzy) obowiązkowo obejrzeli kabaret. I może wyślagneli pewne wnioski dla swojej pracy. Zresztą nie tylko oni...

Patronat — jeśli tak można powtórzyć — nad „Czartem” objął Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Imprez Artystycznych. Zapewne co nieco trzeba będzie do kabaretu dopłacać, chociaż bilety nie będą znów takie tanie — 50 złotych od osoby. Może w

przyszłości należałoby się zastanowić nad wprowadzeniem zniżek dla studentów. Ale to już chyba po Innej premierze, kiedy to „Czart” weźmie zapewne na zabrodzisko akademickie, tak liczne w naszym mieście.

Przy okazji warto podziękować ludzom „Czarta” za reklamę „Kamieny”. Niestety „Smak miłości” — kłopotem poświęcono głoskę, zniknął już z naszych łamów. Pozostał jeszcze „Sennik europejski”. Myślmy o druku „Pamiętników” Casanovy, częściej o tych, które jeszcze nie ukazały się w języku polskim. Tak więc i w przyszłości „kamenowego” tematu w „Czarcie” nie powinno zabraknąć.

Teraz jeszcze o „Smaku miłości i łez”. Otrzymałamy w tej sprawie — drukować dalej czy nie — kilkadziesiąt listów Głosy były podzielone. Ostatecznie postanowiliśmy „powieść” definitywnie skończyć. Co mamy wzamian? Jeden z projektów wyjawiliśmy wyżej, jeszcze decyzji nie podjęliśmy, ale już w następnym numerze wszystko się wyjaśni. Trochę cierpliwości.

A na razie i my zapraszamy do „Czarci Łapy” na „Czarta”. Przyjemnej zabawy!



— Ja jestem od humoresek
Rys. Ł. Szalecki

minuta myślenia

Smacznego!

PONIEWAŻ mam zwyczaj z należąca atencją odnosić się do słowa mówionego publicznie, uwierzyłem Stefanowi Treugutowi, który przed spektaklem „Śniadania u Desdemony” Janusza Krasińskiego w TV zapewnił, że jest to sztuka wnikliwie odśladająca subtelności natury ludzkiej. „Mądry pisarz” — usłyszałem kilka razy, bym już absolutnie żadnych wątpliwości nie miał co do tego, z kim i z czym mam przyjemność obcować. Wprawdzie nie zdarzyło mi się nigdy usłyszeć Stefana Treuguta ujemnej opinii o czymkolwiek co dotyczy działalności autora, aktora, reżysera i operatora światła w teatrze, to jednak przez zwykłą lojalność dałem się a priori przekonać.

Allied rezultat bezpośredniego doświadczenia zgola inne sztuce wystawił świadectwo.

Przed wszystkim nie wmawiający sobie, że zazdrość męża powracającego z wzięcia i zastajęcego żonę z innym mężczyzną jest problemem, którego wykrzyście wymaga specjalnych „dociekliwości” psychologicznych. Zgoda, można tak upraszczać — jak wyżej — przedstawić każdy problem każdego nawet arcydzieła, ale Tadeusz w „Śniadaniu u Desdemony” tak momentonnie gra nutę owej zazdrości, nie kusząc się o żaden odschematyzowany wariant, że mówić tu o wnikliwości autora jest grubą przesadą. Tym bardziej, kiedy Tadeusz przy tej zazdrości upiera się wbrew dwóm okolicznościom. Pierwsza — powitanie, Tadeusz z Adamem wita

się więcej niż serdecznie. Wita się jak stary druh — który ze starym druhem zjadł beczkę soli i nie potrzebuje ani oświadczeń, ani informacji płynących z otoczenia, by się z nim porozumieć. Więcej: rozumieć. Jak w dalszych sekwencjach sztuki tak i w tej pierwszej widzi go w mieszkaniu swojej żony i takim sówianiem sytuację „rozgrzesza”. Skąd więc wysok Otelia za moment? W tak zwanym międzyczasie nie się stało. Ze mogłyby dojść do skutku jakiegoś pół świadomego procesu psychologicznego? Mogłyby, ale „wnikliwy pisarz” ich nie ukazuje.

Okoliczność druga to nie budząca cienia wątpliwości szczerość Adama, kiedy się zaklina, że go nic w znaczeniu sypialnianym z Anną nie łączy. Tadeusz na moment wierzy, ale po momencie musi wrócić do swej roli zaślepionego zazdroźnika, ponieważ dalej nie byłoby dramatu, skoro pomyślał na nowy wątek nie przyszł. I tak szasta się jak swój prototyp żywem z tragedii Szekspira przeniesiony w obyczajowe, moralne i psychologiczne warunki naszego czasu, które to zjawisko każdy licealista określi jako anachronizm.

Adam. Przecież jest zainteresowany w bezkonfliktowym rozwiązaniu sytuacji. Dlaczego więc, kiedy zauważył zadrążenie Tadeusza piosenka o czarnym baranie, zwrot ten specjalnie znacząco w rozmowie wypunktowuje? Po to, żeby następnie tym trudniej przyszło mu lać oliwę na wzburzone flukty? A już całkowicie niewytłumaczony jest casus z „przyznaniem się” do winy. Widać, że tu winy nie było — więc? Oczywiście, można snuć przypuszczenia. Takie, że np. Adam Anne rzeczywiście kochał i widząc ostateczną niemożliwość zrealizowania swej miłości, chce ją przez moment przeżyć choć w świecie fikcji, choć w fałszywie uzasadnionym podejrzeniu Tadeusza. Albo oddziałała na Tadeusza metoda wstrząsu, po którym ma nastąpić spokój, jako że przykra rzeczywistość wiadoma była łatwiejsza do zniesienia od dręczącej rzeczywistości do-

myślnej. Tak, ale to nie autor podpowiada widzowi. To widz podpowiada autorowi.

Nie otrzymała dobrej roli nawet maszynka do golenia. Jest tak: posiadanie Tadeusza się wzmogło, kiedy zobaczył maszynkę w łazience i podejrzewa, że jest to maszynka Adama. Na co występuje Szymon powiadając, że jest to maszynka jego. Pozostawmy na uboczu fakt, że przez wyjaśnienie tegoż podejrzenia Tadeusza nie zmniejszyło się ani na jotę. Osobliwa jest kwestia Inna. W mieszkaniu Tadeusza Szymon jest jeszcze nie zadowolonym gościem. Nawet jeśli wizyta rozpoczął od golenia (w dodatku nie widać, by wszedł zarośnięty) — zostawiłby maszynkę w łazience mając ją jako jedyny posiadany przedmiot oprócz zegarka, o który nie trzeba się troszczyć, bo jest na reku! Tu Tadeusz powinien mieć wątpliwość, przyjął oświadczenie Szymona jako chęć ratowania sytuacji.

Wątpliwości nie ma. Oświadczenia „tak” nie przyjmuje — zgoda. Ale widz ma prawo dochodzić i przypuszczenia snuć. Dalej. Więc może... Ale przecież nie może to być maszynka Adama! Czy przebywając przez sześć lat w tym mieszkaniu — o to jest przecież podejrzany — za cały arsenał środków służących codziennym potrzebom mógł mieć jedną jedyną maszynkę do golenia? Więc maszynka nie jest ani Szymona, ani Adama. Pozostaje tylko jedynie uznać, że Anna przez lata oczekiwania zyskała zarost.

A ten cały melodramat z miłośnikiem polucyjnych żeber. Zmęsta to? Wymuszanie zeznania? Akt desperacji? Pasuje do naszych realiów jak pieśń do nosa. A to skaleczenie się przy zamiataniu szkieł z rozbitej fiaski. Te szkła mają niewątpliwie zaostreżone dramatyczność sceny i problemu. A sztuczna naiwność Szymona, który przy powitaniu wymienia imię ojca.

O nie, dość mi śniadania u Desdemony. Nigdy do tej pani nie pójde na obiad.

MAJ

Jerzy Leszczyński

POCIECHA

Kiedy ktoś mnie u b i e g ł ,
także mam przyjemność —
wyobrażam sobie,
że u c i e k ł przede mną.

POSTAWA

Gmach opinii się nieraz
na k a l u m n i a c h opiera.

O PRZEWROCIE

Przewrót w tę i z powrotem —
jest przewrotnym przewrotem.

CNOTA W SAMOCHODZIE

Była c h o d z ą c ą cnotą —
półki chodziła piechotą.

GRUCHANIE

Gruchają sobie jak dwa gołąbki:
ona — gruch go w ucho,
a on — gruch ją w ząbki.

NA ZAKŁADY ZBIOROWEGO ŻYWIENIA

Restauracja mała
czasem by im się przydała.

Ijon

TAKIE SOBIE JEDZONKO

SOS dla potrawy jest tym, czym dla przejętych ról — dobry grunt pod nogami. Dobry sos to potowa kulinarnego sukcesu. Dobry grunt to także niezła zapowiedź.

Jeden z pracowników lubelskiej gastronomii, kierownik renomowanej restauracji, mówi sobie czasem taki jestem na tyle młody, że jeszcze mogę się z miastem pozegnać.

Osobliwe, ale widać, że w gastronomii nie tylko z potrzebami różnie bywa. I czasem można powiedzieć dlaczego. Na przykład młodego kierownika zanadto męczy zafatowanie spraw niezbędnych dla zakładu z takim trudem, jakby były właśnie niezbędne. Ciężko też musi się bronić przed absurdalnymi pomysłami swej dyrekcji, która rzadzi nie wiedząc czego trzeba poszczególnym restauracjom. Tak marnują się państwowe pieniądze i nerwy kierownika, ale o tym sza. Z dyrekcją trzeba dyplomacyjnie — wszystko, co ważne, załatwiać niby od niechcienia.

O sosie byłoby tyle, więcej będzie o frytkach. Frytka do frytki i jakoś się je. Frytka także może być upostaciowieniem problemu. Złuszcza, gdy zapija się ją setuchną. Setuchna do setuchny, pieniąż do pieniąż, zwinnym gestem jedno i drugie... Cicho sza... Dopóki się nie wyda.

Pewnego razu okazało się — to już dość stara historia — że w kilku lubelskich lokalach gastronomicznych — „Polonii”, „Europie”, „Astorii”, „Pod Fajkiem”, „Regionalnej” i „Lublinianca” — bufetowe spokojnie sprzedawały własne alkohole i kawę, wzbogacając się o dość wysoką marżę. Jednej bufetowej udało się (do czasu) zarobić aż 100 tys. zł!

Apetyt rośnie w miarę jedzenia, ale tylko niektórych karmi się troskliwie jak żonę dla murzynskiego kacyka. Na przykład pięknie udało się kierownicze „Polonii”. Powszechnie stawiano ją za wzór dobrego pracownika, ta zaś jak gdyby nigdy nic, piła alkohol w godzinach pracy. Kiedy wszystkich się wydało, a zwłaszcza organizowanie alkoholowych libacji dla kolegów z przedsiębiorstwa, została kierowniczką kawiarni WOSTIW. W nowym miejscu piła jednak dalej (razem z bufetową, którą zabrała ze sobą z „Polonii”) i urzędowała konsumentom awantury, aż pewnego razu trzeba było weszła na pomoc MO. Po tym zajściu niektórzy myśleli, że kierowniczką potęgna się z pracą, ale została tylko przeniesiona do kawiarni „Regionalnej” na równorzędne stanowisko.

Inny przypadek, równie szczęśliwy, wydarzył się kelnerowi z „Polonii”. Bywały dni, że z powodu pijanistwo

ledwie trzymał się na nogach i wysyłano go wtedy do domu, aby wytrzeźwiał. Tegoż kelnera przedstawiono do „Europi”, restauracji dającej większe możliwości zarobku.

Czy trzeba repety? W lubelskiej izbie wytrzeźwień jest długi spis pracowników lubelskiej gastronomii, którzy czasem mają przyjemność tam przebywać. Niewybrednym może posłużyć on za serwetkę do ust. Ale czas do mięsa.

Mięso, jak zwykle w zakładach zbiorowego żywienia, nie będzie atrakcyjne. Wszystko co Brillat — Savarin, francuski koneser jedzenia z XVIII wieku, zawarł w „Fizjologii smaku” jest i długo będzie obecny w tworcom lubelskich schabowych, rumszyków, steków oraz zrazów.

Pan G., o którym będzie teraz mowa, zdecydowanie różnił się od młodego kierownika renomowanej restauracji. Był ciut starszy, miał do czynienia z raczej podymymi knajpami i, przeciwieństwie niż tamten, nie urodził się dyplomatą.

Gdy na północu restauracji „Przystań”, w której pracował, zobaczył ładę wartości 15 tys. zł pod kupą węgla — szybko wniósł pisemny protest do dyrekcji. Gdy okazało się, że nie ma windy do magazynu, choć w arkuszu spisowym figuruje — też napisał. Latem, podczas największego ruchu, zabrali mu bufetową do innego zakładu — napisał. Zimą niepotrzebnie dodano mu dwie bufetowe — napisał.

Tak pisał w wielu różnych sprawach, dosiadał bez umiaru niczym niesprawną kucharką. I zdarzyło się, że podczas remontu restauracji „Przystań” zabrakło materiałów. Robotnicy przez dwa tygodnie nudzili się i z nudów pili. Kierownik jak zwykle, pobiegł do jednego z dyrektorów. „A pan niech się w to nie wtrąca, mamy wyspecjalizowane służby” — usłyszał nareszcie. Pobiegł po redaktora. Remont ruszył natychmiast, służby były istotnie wyspecjalizowane. On zaś natychmiast został oddelegowany, czyli odizolowany od spraw i wkrótce z zastępcą kierownika „Przystań” awansowano go na kierownika „Pikolo”. Nie bez powodu.

Historia ta zapowiada sukces, ale tylko pozornie. W rzeczywistości przypomniał sobie Kawałek twardego mięsa, który trzeba żuć sztuczną szczęką. Roboty dużo, a efekty nikt. Pan G. dostał bowiem pracę cięższą, placę niższą, natomiast kłopoty miał cięższe podobne. Tyle, że było ich więcej.

A to składano na niego odpowiedzialność za majątek remontowanego w sąsiedztwie baru, nie dając możliwości

zabezpieczenia sprzętu przed zniszczeniem. A to kosztowało wypracować 400 tys. zł ze sprzedaży łodów, zabierając maszynę do ich produkcji. A to na listy płac pracowników restauracji „Pikolo” wpisywano tuż, którzy nigdy tam nie pracowali...

Im bardziej pan G. był niezadowolony, tym gorzej wychodziło mu zadawanie się z dyrekcją. Dostawał najgorzej kelnerki, długo wytrzeźwiał na remoncie restauracji „Pikolo”, a jego uwagi i postulaty zbywano milczeniem.

Tymczasem w innych zakładach życie towarzyskie kwitło, przedstawiciele dyrekcji bywali i wszystko było okej, o czym zresztą dowiedzieliście się państwo przy jedzeniu frytek. Gdy zaś remontowano nareszcie „Pikolo” — jak na stożek najpierw odbyło się malowanie, potem kuli w ścianach dziury hydraulicy, potem wszystko zamalowano i potem weszli z kuciem elektrycy...

Choć rola nigdy nie należy się przejmować, pan G. zupełnie stracił głowę. W końcu tak wypadł z realitów, że gdy przyszedł do niego kierownik zespołu muzycznego skarżąc się na batagan w restauracji — odesłał go do dyrektora. Dyrektor kazał muzykowi wszystko opisać, pismo otrzymała kierowniczką nadzorująca zespół restauracji typu „Pikolo”, muzyk został wezwany i nazwany rozrabiałką. Ponadto o wszystkim odwrócić pocztą powiadomiono pana G., który zebrał swych podwładnych i... ostrzegł ich przed skarżącym muzykiem.

Długo by analizować przyczynę postępującej słabości pana G. Czy ktoś jedząc podty kofet w restauracji zastanawia się, czego w nim za dużo, a czego za mało? Sparafatyczny kotlet się odsuwa, zaś pana, który pobladł, dobrze jest zwolnić, zwłaszcza gdy rozpowiada — oczywiście, troszką obywatelską powodowaną — że cały remont restauracji „Pikolo” kosztował 45 tys. zł, zaś dodatkowo tylko za dwie szafy kuchenne zapłacono aż 43 tys. zł.

Pana G. zwołano więc, a powody były ważne. Nie wypatniał obowiązków, nie kierował zakładem, był bierny i tolerancyjny dla personelu, nie miał odpowiedniego wykształcenia. Jak jednak młotą wafelniczerem, w gastronomii nie ma ludzi bez wad. Pan G. rzeczywistości był niezbyt sprawnym kierownikiem, lecz gdyby nie podskakiwał — zostałby na miejscu. Do najczarniejsze — otrzymał dobry grunt pod nogami.

I tak, prawdę powiedziawszy, obiadek skończony. Smacznego!

Anna Bocian